Nr. 20. Poznań, dnia 17 Maja 1908 r. Rok XII.

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie . . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 97.

Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Państwo narodowe a państwo narodowościowe.

Hakatyści i rząd pruski powołują się na to, że Prusy tworzą jednolite państwo narodowe, zatem słuszna, by język państwowy t. j. niemiecki obowiązywał powszechnie i w konsekwencyi logicznej wypierał wszystkie inne krajowe języki i je tępił.

Pod pojęciem państwa narodowego rozumieć należy państwo, złożone tylko przez jeden jedyny naród, posiadający wspólną kulturę, wspólny język, wspólną przeszłość historyczną i wspólne interesy narodowe i kulturalne.

Takiem państwem Prusy oczywiście nie są i właściwie nigdy niem nie były. Z chwilą gdy zagarnęły dzielnice polskie i obowiązały się uroczyście zachowywać i pielęgnować odrębne właściwości narodu polskiego, a nawet odrębne Polakom przyznały prawa (niedotrzymane), Prusy oddaliły się jeszcze bardziej od ideału narodowego państwa i właściwie tworzą państwo narodowościowe, chociaż tego ani w teoryi, ani w praktyce przyznać nie chcą.

Byłyby Prusy państwem narodowem jednolitem, gdyby: Polacy, Duńczycy, Serbowie, Francuzi, Litwini i t. d. żyli rozsypani na całej przestrzeni państwa, jak żydzi n. p. Z chwilą jednak, gdy te narody żyją skupione w pewnych dzielnicach kraju i tam stanowią większość, obcą panującemu narodowi kulturą, językiem, przeszłością historyczną, a co najważniejsza duchem i sercem, z tą chwilą trzeba było, albo oficyalnie uznać państwo za narodowościowe, coby było rzeczą najnaturalniejszą i wyciągnąć konsekwencye z takiego uznania, albo też okrzyknąć się wbrew rzeczywistym stosunkom państwem jednolitem, narodowem i polityką lub siłą dążyć do wytworzenia jedności narodowej — sztucznie. Prusy obrały drogę ostatnią.

To wszystko, czego w Prusach tak boleśnie doświadczamy, jest niczem innem, jak tą operacyą, skierowaną do nadania nam tej narodowości, którą z biegiem wieków przyjęła (wyraźnie mówimy przyjęła, gdyż szczepy zamieszkujące dzisiajsze Prusy nigdy nie były niemieckie) większość społeczeństwa pruskiego.

Jest to operacya bolesna bardzo i nieskuteczna.

Jednakże przyznać trzeba, że każde państwo, jeżeli chce wznieść trwały gmach państwowy, musi dążyć do wytworzenia o ile możności sharmonizowanego społeczeństwa. Łatwiej to uskutecznić w państwie narodowem, gdzie już materyał jest gotowy, niż w państwie złożonem z wielu narodowości, gdzie rozdźwięk i rozbieżność z natury rzeczy jest większa.

Państwo właściwie jest tylko krystalizacyą woli ogółu obywateli, zdecydowanych żyć wspólnie i działać w kierunku utrzymania tej wspólności, celem zapewnienia każdemu człowiekowi równych praw i swobód i o ile możności równej pomyślności. Państwo zatem powinno służyć ogółowi. Z chwilą gdy tego zadania nie spełnia, gdy służy interesom części, a choćby nawet większości, traci racyę bytu dla reszty, z natury rzeczy pokrzywdzonej. Mądrze rządzone państwo zatem, będzie się starało dogodzić ogółowi, być mu potrzebnem i użytecznem, wpoić w każdego obywatela przeświadczenie, że dobrze mu w dotychczasowej wspólności, że w jego interesie spoczywa tej wspólności się trzymać i bronić jej od wstrząśnień lub rozsypki. To jednak można osiągnąć bez gwałcenia najelementarniejszych praw ludzkich. Prawo przyrodzone, dlatego, że starsze jest i wrodzone, zawsze zatrzyma pierwszeństwo przed państwowem. Kto do tych praw siekierę przykłada, burzy równocześnie uczucia państwowe i hoduje anarchizm, najostrzejsze przeciwieństwo idei państwowej. Do przyrodzonych praw człowieka bezsprzecznie należy: prawo do języka, prawo swobodnego myślenia, wierzenia i działania w granicach, jakie swobodzie ludzkiej nakłada etyka i wzgląd na dobro ogółu, na co obywatel uczciwy tak samo się oglądać musi, jak i państwo go przestrzegać winno.

Niestety w Prusach postępuje się wbrew najelementarniejszym wskazaniom zdrowego państwowego rozumu.

Zamiast szanować prawa ludności obcojęzycznej i dając jej przez to przykład poszanowania praw wogóle, wychowywać na dobrych i dobrowolnych obywateli państwa, drażni się obcych i zraża i ma się z nich żywioł obojętny, obcy, zniechęcony, a w pewnych sferach nienawistny nawet. Cóż bowiem znaczą wszelkie wyborowe publiczne urządzenia, dobre drogi, szkoły, telefony, poczty, koleje, co znaczy ostatecznie dobrobyt, łatwa możność zarabiania i wszelkie materyalne dobra, jeżeli człowiek czuje się pokrzywdzony w tem, co jego najgłębszy grunt, jego istotę stanowi? Co znaczy uprzystęp-

nienie wszelkich zdobyczy postępu i kultury, wobec uszczuplania praw języka, narodowości, zwyczajów ojczystych i zastępywania tego wszystkiego rzeczami obcemi, nie dla tego, że niemieckie, lecz dla tego, że obce i narzucone — nienawistnemi?

Gdzie tu droga, gdzie możność, gdzie prawdopodobieństwo, a nawet tego prawdopodobieństwa cień, by obecna narodowościowa polityka pruska mogła doprowadzić do tego celu, do którego dążyć musi t. j. do wytworzenia w całem państwie możliwie sharmonizowanego społeczeństwa t. j. takiego, które przy wszystkich różnicach wiary, języka, narodowości i kultury wyrobi sobie tyle poczucia wspólności państwowej i zrozumienia wspólnych interesów, ile go potrzebuje państwo do racyonalnego rozwoju, a w ciężkich chwilach dla własnego bezpieczeństwa. Aby to się stać mogło, musi ludność obcojęzyczna uznać, że pomyślność i wielkość Prus jest i dla niej korzyścią. A jakże to ma uznać, jeżeli widzi, że właśnie z chwilą, gdy Prusy wybiły się na powierzchnię, rozpoczął się na dobre ucisk np. polski i prawodawstwo wyjątkowe?

Idea państwa narodowego zatem nie zawsze zdaje się być zbawczą — owszem okazuje się w pewnych warunkach szkodliwą tak dla państwa, które ją wyznaje, jak dla narodów, które mają nieszczęście należeć do państwa tą ideą opętanego.

Zupełnie inaczej ma się sprawa z państwem narodowościowem. Tam, jak to uczy przykład Szwajcaryi, żyją narody ze sobą w zgodzie i harmonii i lubo każdy z nich żyje w najbliższem sąsiedztwie odpowiadającego sobie państwa narodowego, to jednak ani Niemcy, ani Włosi, ani Francuzi szwajcarscy nie myślą zrywać wspólności państwowej szwajcarskiej i przekładają wspólnie pożycie w państwie narodowościowem nad przynależność do odnośnych państw narodowych.

Podobny przykład daje nam także Austrya, gdzie wprawdzie nie ucichły walki narodowościowe doszczętnie, gdyż w tem państwie proces zróżniczkowania się państwowo-narodowościowego nie jest jeszcze ukończony.

Ideałem państwa bezsprzecznie jest państwo narodowe. Jednakże, gdzie warunki ku temu są nieodpowiednie, jak n. p., w Prusach, idea państwa narodowego staje się ciężarem dla państwa samego, a biczem dla mniejszości narodowych. W takich państwach idea ta jest hasłem wielkich, namiętnych walk, wieczystem źródłem prześladowań, ucisku, nienawiści, zatruwa życie prywatne i publiczne, niszczy wszelkie stosunki pomiędzy narodowościami uciskanemi a panującą większością, demoralizuje jednych i drugich, bo hoduje pogański nacyonalizm, którego źródłem nie miłość, lecz nienawiść, i proklamuje zasadę walki wszystkich przeciw wszystkim.

To też nie można liczyć na polepszenie stosunków w Prusach rychlej, nim Prusy nie zarzucą tej błędnej w danych warunkach idei i nie uznają się za państwo narodowościowe, czem w istocie rzeczy są, były i pozostaną.

Do tego zaś tylko przyjść może, jeżeli narody t. zw. obce, w skład monarchii pruskiej wchodzące, będą konsekwentnie stały na stanowisku odrębności narodowościowej i nie ugną się pod wpływem germanizacyjnym.

Spamiętajmy sobie, że każde ustępstwo na tem polu, każdy nasz ubytek liczebny, każde zwężenie się naszego stanu posiadania bądź to w ziemi bądź w handlu, przemyśle, nauce i t. d. dostarcza nowych argumentów na obronę doktryny o narodowem państwie i przedłuża operacyę asymilacyjną.

Dla nas w Prusach nie będzie ratunku, jeżeli ustępować będziemy z pola, jeżeli będziemy się wyprowadzać w rozsypce w głąb Niemiec, lub co gorsza, jeżeli wogóle wyniesiemy się za granice państwa. Dla tego należy się nam trzymać, jak to mówią, rękami i nogami dzielnic naszych i przez przyrost naturalny — w czem chwała Bogu górujemy nad przeciwnikiem — wyrównywać sztuczny przyrost niemiecki, przesuwający liczebny stosunek dwóch walczących narodowości na niekorzyść naszą.

Wywłaszczenie odbierze nam ziemi. Lecz póki nam jeszcze ziemię kupować wolno i póki jest ziemia do nabycia i wywłaszczenia lękać się nie powinniśmy. Naród, który zginąć nie chce, nie zginie. Nie zginie wszakże, jeżeli się będzie potrafił umiejętnie bronić. Nie wola bowiem rozstrzyga, tylko wynik woli t. j. czyn. Wola zaś nasza i czyn skierowane być winny w stronę najbardziej zagrożoną t. j. w stronę ziemi, którą kupować należy, w stronę handlu i wytwórczości naszej, do czego się odnosi hasło: swój do swego. Pielęgnowanie języka rozumie się samo przez się.

Jeżeli się zastanowimy nad tem, co się poprzednio powiedziało, poznamy, że wszystkie narody nie niemieckie w Niemczech zamieszkałe są do pewnego stopnia naszymi wspólnikami, że ich sprawa jest w pewnej mierze sprawą naszą, boć im większa jest w państwie liczba i siła moralna i materyalna obcych, tem większe widoki przeobrażenia się państwa w duchu rzeczonym. Poznamy też, co za szkodnikiem wspólnego interesu był ów nieniemiecki poseł, który w parlamencie zaznaczył, że Polacy go nic nie obchodzą, byleby tylko jego rodakom zachowany był język ojczysty na zebraniach publicznych.



Manifestacya trójprzymierza.

Dnia 7. maja odbyła się w Wiedniu uroczystość, jakiej nie ma bodaj przykładu w historyi. Nawet wspaniały zjazd monarchów podczas traktatów wiedeńskich r. 1815 co do świetności zewnętrznej nie może równać się z czwartkowym.

Na życzenie cesarza Wilhelma przybyło do Wiednia 10 ukoronowanych głów niemieckich, by złożyć hołd i czołobitność sędziwemu cesarzowi Franciszkowi Józefowi z okazyi jego jubileuszu rządów sześćdziesięcioletnich.

Akt ten odbył się z niesłychanym przepychem. Cesarz Wilhelm wygłosił mowę, w której wielbił cesarza Franciszka Józefa, jako szlachetnego władcę, wiernego sprzymierzeńca i ostoję pokoju europejskiego; sędziwy zaś monarcha austryacki dziękował za dowody czci i uznania, położył przycisk na zasadę monarchiczną, której Niemcy zawdzięczają wielkość, a w której także tkwi siła Austro-Węgier i zaznaczył, że wspaniały zjazd czwartkowy jest równocześnie najwyraźniejszem potwierdzeniem ścisłego przymierza austryacko-niemieckiego. Mowy te dopełnione zostały telegramem króla włoskiego, który pokwapił się zapewnić Franciszka Józefa, iż łączy się całem sercem z serdecznemi uczuciami, jakie mu wyraził cesarz niemiecki, „nasz dostojny sprzymierzeniec i przyjaciel.“

W odpowiedzi na ten telegram odpowiedział cesarz austryacki, że „winszuje sobie tego nowego dowodu szczerego przymierza i oddanej przyjaźni, która nas łączy.“

Telegram włoski jest ważny. Bez niego bowiem byłaby uroczystość czwartkowa zachowała charakter owacyi, uwydatnienia wysokiej czci, jaką się cieszy Franciszek Józef u książąt i narodu niemieckiego, ostatecznie potwierdzenia serdecznych stosunków sąsiedzkich niemiecko-austryackich.

Telegram króla włoskiego sprawił, że owacya czwartkowa wyrosła do rozmiarów wielkiej manifestacyi politycznej międzypaństwowej i to w duchu najbardziej stanowczego stwierdzenia niewzruszalności trójprzymierza.

Cesarz Franciszek Józef wstąpił na tron d. 2 grudnia 1848. Zatem 60-ciolecie panowania jego przypada na dzień 2 grudnia b. r. Ten dzień mógłby się zdawać także najodpowiedniejszym do zjazdu książąt niemieckich. Tymczasem wybrano dzień 7 maja, pierwszy lepszy w roku, a odznaczający się chyba tem, że bliższy on niż 2-gi grudnia bezpośrednim wynikom sojuszowej polityki angielskiego Edwarda.

Czy naładowane elektrycznością powietrze europejskie i pochmurny horyzont polityczny radził pokazać światu, że trójprzymierze, tyle razy ogłoszone za umarłe, żyje jeszcze i trzyma wagę sojuszom angielskim? Czy w celu pozyskania Wiktora Emanuela dla uroczystości trójprzymierza jeździł ks. Bülow do Rzymu?

Dość, że zjazd wiedeński wykazał, że stara spółka niemiecko-austryacko-włoska, która np. za czasów konferencyi algeciraskiej wyglądała niepokojąco problematycznie, dziś należy do zupełnie realnych — na oko przynajmniej — konfiguracyi mocarstwowych.

To jest, co nadaje zjazdowi wiedeńskiemu wysokie polityczne znaczenie, a ponieważ myśl zjazdu wyszła z Berlina, zdaje się, że on głównie Berlinowi był potrzebny i błogi.

Podnosząc tu głównie polityczne znaczenie wiedeńskiego zjazdu, nie zamierzamy obniżać jego strony czysto ludzkiej, jako takiej sympatycznej.

Na koniec przypomnieć należy, że po dziś dzień trwałość sojuszów międzypaństwowych i ich znaczenie nie opiera się tak, jak dawniej, na uczuciach i przekonaniach panujących, ile na woli i interesach narodów.

Nie można powiedzieć, żeby pomiędzy mocarstwami sprzymierzonemi panowała należyta harmonia. Niepodzielnie na stanowisku trójprzymierza stoją Niemcy, bo Niemcom ono najbardziej potrzebne. Austrya go nie potrzebuje w tak wysokim stopniu. Rosya bowiem obecnie nie straszna, lecz interes narodowy Niemców austryackich każe trzymać się trójprzymierza. Włochy, wysunięte granicami w morze, daleko więcej muszą się liczyć z Anglią i Francyą, jak z Niemcami. Od Austryi dzieli je głęboki polityczny antagonizm dotyczący spraw bałkańskich. Trójprzymierze zapobiega wojnie austryacko-włoskiej, równocześnie czyni Włochy do pewnego stopnia niezależne od przemożnych wpływów angielskich. W związku z Anglią byłyby Włochy tylko piłką w jej ręce.

Mają więc te państwa pewien interes trzymać ze sobą, jednakże nie należy zamykać oczu na to, że tak w Austryi jak we Włoszech coraz potężniej rozlega się pomiędzy ludnością głos przeciwny trójprzymierzu. W Austryi szczególniej Słowianie są przeciwnikami trójprzymierza, a Polacy, dawniejsi jego zwolennicy, dziś po wzmożeniu się pruskiej polityki antypolskiej, bardzo niechętnie oświadczyli się za sojuszem z Niemcami.

Jakkolwiek więc świetność i stałość trójprzymierza okazała się świeżo w prawdziwie bengalskiem oświetleniu, tak nie brak wewnętrznych i zewnętrznych niebezpieczeństw kwestyonujących jego niewzruszalność, jego rzeczywistą wartość w czasach próby.

Bądź co bądź zjazd wiedeński był zręcznem pociągnięciem berlińskiej polityki na szachownicy politycznej i przedstawia się głównie, jako zysk dyplomacyi niemieckiej tyle nieszczęśliwej w ostatnich czasach w rozlicznych innych imprezach. Można przewidywać, że znów wzrośnie wpływ niemiecki tak w Austryi jak w Rosyi, okoliczność zazwyczaj złowroga dla interesów słowiańskich, a więc i naszych.



Kandydatury poselskie.

W poniedziałek przeszły odbyła się narada stronnictwa ludowo-demokratycznego, na której rozpatrywano sprawę kandydatur poselskich. Wypłynęły tam następujące nazwiska: mecenas Trąmpczyński, dr. Antoni Chłapowski, ks. dr. Trzciński, ks. prob. Zakrzewski, Idzi Switała, hr. Mielżyński z Chobienic, dr. Rydlewski.

„Dziennik Pozn.“, a raczej jego korespondent, jest zdania, że z wyż wymienionych kandydatów tylko jeden daje pewność, że zdoła należycie wypełnić obowiązki poselskie.

Z dotychczasowych posłów oświadczyło się zebranie poniedziałkowe za ks. pralatem Stychlem, dr. Niegolewskim, Korfantym, ks. prał. dr. Jażdżewskim, Grabskim i dr. Mizerskim.

Odrzucono zaś kandydaturę pana dr. Dziembowskiego.

Wobec tych wyników pisze „Dzien. Berl.“, że z wszystkich wyż wymienionych kandydatów zasługują na poparcie tylko następujące osoby: pp. dr. Mizerski, ks. prał. Stychel, mecenas Trąmpczyński, ks. dr. Trzciński i ks. prob. Zakrzewski.

Posłowi Korfantemu winien starczyć mandat parlamentarny, reszta zaś albo nie ma odpowiednich kwalifikacyi, albo z demokracyą nie ma nic wspólnego.

„Przyj. Ludu“ kruszy kopie za kandydaturą p. Idziego Switały, którego koniecznie chciałby mieć posłem i to włościańskim w okręgu kościańsko-grodzisko - śmigielsko-nowotomyskim. Pisze zaś tak:

„Nie zdołaliśmy dla krótkości czasu wyszukać trzech kandydatów z kół włościaństwa naszego, jak to poprzednio pisaliśmy, ale mamy przynajmniej jednego kandydata, pochodzącego z ludu, którego „Przyjaciel Ludu“ już dawniej polecał. Jest nim pan Idzi Switała, dawniejszy redaktor „Gaz. Polskiej“ i „Pracy,“ a obecnie redaktor polskiego biura prasowego w Berlinie.

Urodził on się pod wiejską strzechą jako syn zacnego gospodarza pod Ostrowem, nie wstydzi się swego pochodzenia i jest człowiekiem nie tylko wykształconym, ale i pracowitym. Jego to trzeba postawić na kandydata w okręgu *kościańsko-grodzisko-śmigielsko-nowotomyskim,* a obok niego albo ks. prob. Zakrzewskiego z Golejewka, albo ks. dr. Trzcińskiego, albo p. hr. Mielżyńskiego z Chobienic, albo wreszcie p. adw. Dziembowskiego.

Kandydatura p. Switały znajdzie może przeciwników, ale waszą już jest rzeczą, Kochani Bracia, postawić na swojem i pokazać, że nie dacie się zbyć wykrętami, jeno umiecie przeprowadzić, co chcecie. A niech Was, Bracia Kochani, nie zbije z tropu, jeżeliby nawet jacy ludowcy przeciwko p. Switale występowali. Będziecie wiedzieli, co sądzić o takich ludowcach, którzy nie chcą dopuścić do urzędu poselskiego syna poczciwego gospodarza w sukmanie.“

Ponieważ i nasze pismo bardzo sobie życzy, byśmy otrzymali posłów z kół średnich, włościańskich i robotniczych, musimy kilka słów dołączyć do powyższej opinii „Przyj. Ludu.“

Z góry oświadczamy, że nie występujemy przeciwko kandydaturze pana Switały, jako takiej, lecz nie możemy się na to zgodzić, żeby kandydatura p. Switały miała uchodzić za kandydaturę włościańską.

Pan Switała jest tak samo inteligentem, jak reszta posłów naszych. To że się urodził pod strzechą włościańską

nie zmienia w niczem tego stanu rzeczy. Inna byłaby sprawa, gdyby p. Switała, otrzymawszy wykształcenie, jakie posiada, objął gospodarstwo ojcowskie, pracował na ziemi, żył i działał wśród ludu włościańskiego, podzielał jego dolę i niedolę i miał z nim wspólne interesy. Tak jednak nie jest. Pan Switała nieodwołalnie przeszedł do innej warstwy społecznej. Na to nie ma rady.

Takiem samem prawem mógłby syn rzemieślnika, wykierowawszy się na doktora lub adwokata i zostawszy posłem, chcieć uchodzić za przedstawiciela owych klas.

Jeżeli tak będziemy patrzeć na sprawy, to warstwa naszej inteligencyi wyda się nam bardzo cienką, gdyż, wyłączywszy szlachtę, przeważnie składa się ona z synów gospodarzy, małych kupców, rzemieślników, nauczycieli, a prawie wyłącznie z ich wnuków. Nasza inteligencya mieszczańska niestety bardzo jeszcze jest młoda.

Niech więc p. Switała zostanie posłem, lecz niech nam nikt nie mówi, że to kandydatura włościańska. Pan Switała może być wybornym znawcą potrzeb włościańskich, wielkim tej warstwy przyjacielem, faktycznie jego interesy, jego sfera są inne. W ten sposób bardzo łatwo byłoby o posłów włościańskich, rzemieślniczych, robotniczych.

Nie przeciwstawiając się więc wcale kandydaturze p. Switały, oświadczamy, że po za takąż p. Piotrowskiego nie ma dotąd żadnej, któraby zadowolala te życzenia, jakie wypowiedzieliśmy w artykule naczelnym w nr. 19-ym naszego pisma.

Na koniec jeszcze króciuteńka uwaga. Mówiąc tu o posłach włościańskich, robotniczych, rzemieślniczych, nie chcemy czasem tworzyć reprezentacyi, stanowej na modłę socyalistów, którzy tylko walczą o dobro robotników bez względu na szkody, jakie innym warstwom wyrządzą. Rzecz jasna, że byłaby to rzecz szkodliwa i potępienia godna. Na taki zbytek mogą sobie może pozwolić narody niepodległe, ale nie nasze biedne i skołatane społeczeństwo. Jesteśmy narodem, złożonym z kilku warstw, więc i przedstawicielstwo nasze musi równocześnie dbać o dobro wszystkich stanów, całego społeczeństwa i właśnie, aby się to stać mogło, by usunąć wszelkie podejrzenia, wszelkie kwasy, pragniemy także mieć posłów z warstw ludowych.

O tem pamiętać winniśmy, że na tem polu najbardziej wytężyć powinniśmy nasze siły, które najbardziej jest zagrożone, a nie są niem żadne interesy stanowe — bo tych z natury rzeczy bronią również Niemcy — lecz *interesy religijne i narodowe*, na które właśnie nacierają.

Ten wzgląd więc przedewszystkiem winien stanowić o charakterze naszego przedstawicielstwa bez względu z jakich żywiołów się składa.

Raz tylko djabła wpuść do swego domu,
A raj ci w piekło zamieni.
Fr. Morawski.

* * *

Kto garstkę ziemi nosi — góry się doczeka;
Z kropli za kroplą z czasem uzbiera się rzeka.
Kazimierz Brodziński.



Z ruchu wiecowego.

Twarde ustawy antypolskie, które uderzyły w nasz naród, nie wywołały lęku ani przygnębienia wśród społeczeństwa polskiego, lecz pobudziły ducha i zagrzały do tem energiczniejszej obrony. Tak być powinno, tak być musiało, a mylił się, kto sądził inaczej.

W odpowiedzi na nowe ustawy wzmógł się ruch wiecowy. Mieliśmy wiece w rozmaitych miastach naszego zaboru, na obczyźnie, za kordonem, a także kilka w Ameryce.

Wszędzie tam tchnął duch podniosły i wiara w ostateczne zwycięstwo słuszności.

Także kobiety nasze wzięły się do dzieła i odbyły wiece w Gdańsku, Poznaniu i Bydgoszczy. W chwili, gdy to piszemy, odbywa się wiec kobiet w Królewskiej Hucie na G. Sląsku.

Wiece kobiet szczególniejszą napawają nas radością, gdyż pokazuje się, że niewiasty polskie, których to wpływ na wychowanie dzieci i tem samem na przyszłość i rozwój narodu jest olbrzymi, bodaj większy niż męski, nie opuściły rąk, lecz przeciwnie ramię przy ramieniu chcą walczyć z nami, a przysłowie francuskie powiada: czego kobieta chce, tego Bóg chce — przez co należy rozumieć, że kobiety potrafią dopiąć celu, jaki sobie wytknęły.

Jeżeli gdzieindziej ruch kobiet przyjmuje formy i treść, którym bezwzględnie przyklasnąć nie zawsze można, to u nas nie może być o tem mowy. Nasze matki, żony i siostry okazują się godnemi wysokiego stanowiska w rodzinie, jakie posiadają nie z łaski mężczyzn, lecz na skutek własnej dzielności i tych wysokich darów serca i umysłu, któremi je Bóg przyozdobić raczył. W tym duchu szlachetnym i wzniosłym, który cechuje kobietę Polkę, wystąpiły nasze panie także na arenie publicznej, za co składamy im cześć i wdzięczność wyrażamy. Naród, który posiada takie kobiety, jak nasze — nie zginie.

Również wielkie wrażenie wywarł wiec naszych braci polskich z G. Śląska w Katowicach odbyty. Nie dlatego, jakoby to był wiec wyjątkowy, boć wiece na Sląsku odbywają się od dawna, lecz dla tego, że tam po raz pierwszy stanęli obok siebie księża, inteligencya i lud i zaznaczyli swą wspólność i solidarność narodową i polityczną. Wiec ten ma doniosłe historyczne znaczenie, jest etapem na drodze wytworzenia się społeczeństwa polskiego na Śląsku, zaznacza, że tam nie istnieje tylko lud i t. zw. agitatorzy wielkopolscy, lecz, że istnieje społeczeństwo.

Na osobną uwagę zasługuje fakt, że nawet księża niemieckiej narodowości podpisani byli pod odezwę wiecową, a okoliczność, że i proboszcz katowicki, ks. dziekan Schmidt podążył na salę wiecową (policya nie wpuściła go dla przepełnienia) wskazuje, że kompromis polsko-centrowy podziałał w duchu pojednania duszpasterzy z ludem.

Oby ta solidarność narodowa z jednej strony z solidarnością katolicką z drugiej strony wzmacniała się i krzepiła, a wyjdzie na tem dobrze sprawa narodowa i katolicka a także Niemcy nic na tem nie stracą, gdyż ruch ludowy na Śląsku nie ma wcale charakteru zaczepnego, lecz obronny, nie ma tam podobnie, jak i u nas, nienawiści do Niemców, jako takich, lecz jest uprawniona walka z rządem i szowinizmem niemieckim, zatruwającym wszelkie stosunki ludzkie.

Nowe ustawy antypolskie cały naród polski powołały na szańce, niechaj tam wytrwa w zbożnej obronie do końca!

Kłamca jest zły moneciarz, pozwól mu fałsz mnożyć,
To on sam jeden zdoła cały kraj zubożyć.
Adam Mickiewicz.

* * *

Jest pewny kres wszystkiego, nawet i swywoli,
Której nigdy przestąpić honor nie dozwoli.
Al. Fredro.





Wystawa przemysłowa w Poznaniu.

Nasze Towarzystwo Przemysłowe obchodzi w roku bieżącym jubileusz 60-cioletniego istnienia. Celem uświetnienia i upamiętnienia tej uroczystości powzięło wspomniane towarzystwo myśl urządzenia wystawy przemysłowej w Poznaniu. Myśl tę przyjęto z zapałem. Stworzono komitet wystawowy, na czele którego stoi zaszczytnie znany z swej pracy społecznej pan prof. Antoni Drygas. Dzięki gorliwym i energicznym zabiegom komitetu zgłosiło się tylu wystawców, że już wszystkie miejsca na wystawie są zajęte. Nadmienić wypada, że w wystawie biorą udział wszystkie zawody przemysłowe reprezentowane w okręgach poznańskich. Otwarcie wystawy nastąpi dnia 28-go czerwca, jako miejsce dla wystawy upatrzono wzgórze śgo Łazarza.

Wystawy są urządzeniem zupełnie nowoczesnem.. Lubo początki ich sięgają w wiek 18-ty — to jednak dopiero w ubiegłym wieku zyskały na prawdę prawo obywatelstwa w świecie. Obecnie stały się zjawiskiem codziennem. Posiadamy szereg wystaw stałych, po zatem w rozlicznych miastach świata powtarzają się wystawy tak często, że trudno byłoby wszystkie zwiedzić jednemu człowiekowi.

Początek wystawy dali kupcy, urządzając wystawy towarów w swych sklepach i oknach wystawnych. Z tych zaczątków, podyktowanych względami reklamy, rozwinęły się wystawy w wielkim stylu, światowe, międzynarodowe, krajowe, prowincyonalne, wystawy specyalne i powszechne, przemysłowe, handlowe, artystyczne i t. d. i t. d.

Z gospodarczego stanowiska na rzecz patrząc, należy się wystawom uznanie. One to przyczyniają się do rozwoju i postępu poszczególnych gałęzi wytwórczości ludzkiej, budzą zdrowe współzawodnictwo, wyrabiają nie tylko zbyt na przedmioty pracy ludzkiej, lecz równocześnie pomagają wybić się jednostkom dzielnym na powierzchnię, zapoznając handel i szerszą publiczność z ich wyrobami. Dziś użyteczność wystaw powszechnie jest uznana. Są one nie tylko dobrą reklamą, lecz czynnikami kształcącymi zawodowo i ogólnie. Jako takie mają doniosłe znaczenie także cywilizacyjne.

Zatem i nam wypada najgoręcej podziękować wszystkim tym, którzy przyłożyli ręki do urzeczywistnienia wystawy przemysłowej w naszem mieście i życzyć jej jaknajlepszych sukcesów.

Dzielni przemysłowcy nasi znajdą pożądaną sposobność wyłożenia dzieł swych pracowitych rąk na widok publiczny. Jesteśmy przekonani, że wzmocni się przez to zaufanie i szacunek dla rodzimego przemysłu niestety zbyt często jeszcze najniesłuszniej przez rodaków traktowanego po macoszemu.

Tyle się mówi i pisze o uprzemysłowieniu kraju. Wybornie. Lecz nie jest to rzecz, którą by można wytworzyć sztucznie na komendę. Natomiast przez konsekwentne popierania już istniejącego przemysłu można przyczynić się do raźnego jego rozwoju, a tem samem do powszechnego postępu gospodarczego naszej dzielnicy.

Życzeniem, by projektowana wystawa przemysłowa ziściła te nadzieje, kończymy niniejszą wzmiankę.



Listy od przyjaciół.

Kto rządzi w Galicyi?

Z Górnego Śląska, 10 maja.

Już od dawna śledzę ruch w naszym sąsiednim kraju, w tym raju żydów, Galicyi, kto właściwie tym krajem rządzi, czy rząd, czy też szlachta polska (zdanie Rusinów), czy też żydzi. Przekonałem się, że po trosze wszyscy, lecz najwięcej ci ostatni. Ostatecznie, doszedłem do przekonania, że oprócz wyżej wymienionych nawet nasza pruska hakata tam swój nos wściubia i co gorsze, że tamtejsze władze nieraz słuchają hakatystów ze szkodą naszą. Przykładów takich mamy kilka, dość wspomnieć 1902 rok, kiedy to na donos tutejszej hakaty, zaaresztowano kilku Sokołów naszych na Wysokim Brzegu; rzekomo dla tego, że ich wzięto za socyaldemokratów urządzających w Galicyi niezameldowane zebranie. I pomimo, że Sokoli protestowali i wykazywali, że urządzili tylko wycieczkę i że ze socyalistami nie mają nic wspólnego, nic nie pomogło, Sokołów *skuto kajdanami,* wsadzono na wóz i zawieziono do więzienia w Jaworznie, gdzie do dnia następnego przesiedzieli. I chociaż się ich niewinność wykazała, jednak musieli jeszcze za niewygodny nocleg zapłacić (karę). Wspomniałem o jednym takim wypadku z lat dawniejszych, nieprzestając jednak na tem, przechodzę do drugiego przykładu z bliższego okresu. Sprawa toczy się o dom gościnny p. Postracha naszego obywatela, w Jęzorze (w Galicyi). Oto co p. Postrach opowiada:

W roku 1903 zostałem przez kilku Polaków z Górnego Śląska jak i z Jaworznia (w Galicyi) pobudzony do wybudowania restauracyi w Jęzorze pod Jaworznem, tuż przy pruskiej granicy Mysłowic. W on czas istniały na Jęzorze dwa zwyczajne wyszynki żydowskie (teraz już cztery), gdzie oprócz wina, piwa i wódki, żadnych ciepłych napojów ani przekąsek dostać nie było można, jak zresztą do dziś dnia jeszcze jest. Zatem zachodziła potrzeba, aby na miejscu wybudować lepszą restauracyę z wszelkiemi dogodnościami, aby ludności, która tutaj tysiącami już to na wycieczki lub też po zakupna przybywa, dać sposobność do pokrzepienia się. — Zakupiłem więc z wielkiemi trudnościami kilka morgów lasku nad Przemszą, położonego trzy minuty od wioski Jęziorskiej. Nim jednak rozpocząłem budowę, stawiłem wniosek do starostwa o udzielenie mi konsensu na wyszynk wina, podawanie kawy, herbaty, ciepłych i zimnych potraw. Wniosek mój został w styczniu roku 1904 w gminie Jaworznie 18 głosami przeciw 13 (żydowskie) przyjęty. Po uchwaleniu w gminie poszedłem osobiście do starosty p. Czermaka z zapytaniem, czy zechce mi konsensu udzielić. P. starosta oświadczył na to, że *hakatyści z Katowic* donieśli do namiestnictwa, że Sokoli Górnośląscy budują sokolnię w Jęzorze i żądają, *aby temu namiestnictwo zapobiegło.* Dostałem tę sprawę od namiestnictwa do zbadania (słowa p. Czermaka), zażądałem więc od gminy w Jęzorze wyjaśnienia, gmina po dokładnem zbadaniu oświadczyła, że pan sam, panie Postrach, osobiście na swoję ryzyko dom restauracyjny budujesz i że pańskie przedsiębiorstwo żadnej styczności nie ma ze sprawą sokolą. Jeżeli tylko gmina Jaworznia się przychyli do wniosku pańskiego, ja żadnej przeszkody panu, co do udzielenia konsensu, robić nie będę.

Zwróciłem panu staroście natychmiast uwagę na to, że wniosek mój w gminie przeszedł większością głosów i zapytałem, czybym mógł poprosić o

wydanie mi konsensu. Na to oświadcza mi p. starosta Czermak, że podług praw tutejszych (galicyjskich) konsensu, dopóty dom zupełnie nie jest ukończony, wydać nie może, lecz jak tylko skończę budowę konsensu mi *bez żadnych przeszkód udzieli.* — Będąc pewny konsensu, rozpocząłem budowę. Nie chcę się rozwodzić z jakiemi trudnościami i kosztem ten dom ukończyłem; kosztował on mnie przeszło 45 tysięcy koron. Gdy zaś był zupełnie gotów udałem się do starosty, celem odebrania przyrzeczonego mi konsensu. Tymczasem pan starosta Czermak został *przesiedlony*, zaś następca jego, starosta Rudzki oświadczył mi, że na Jęzorze żadna potrzeba restauracyi nie istnieje i dlatego on żadnej koncesyi już na Jęzor nie udzieli. (Nadmieniam, że pewnie jednak koncesyi udzielono innym). Zwróciłem mu tedy uwagę na cały przebieg tego przedsiębiorstwa i oświadczyłem, że nigdybym *nie był podjął* budowy, gdybym nie był *miał przyrzeczenia* starosty p. Czermaka, że *konsens otrzymam po ukończeniu domu.* Na to mi p. starosta odpowiada, że mam się po konsens udać do p. Czermaka, on mi konsensu *nie udzieli.*

Nie pozostało mi nic innego, jak się z tym losem pogodzić, że utraciłem majątek w tak pewnem, a jednak niepewnem przedsiębiostwie, a opowiadam tę sprawę dla tego, aby Polaków górnośląskich *ostrzedz przed przedsiębiorstwami galicyjskiemi.*

Tyle p. Postrach. Sądząc z całej tej sprawy, to zawinili tu żydzi galicyjscy i hakatyści pruscy, lecz i starosta nie jest bez winy. Słyszałem też, że pan Postrach udawał się w tej sprawie do wyższej władzy, lecz mu odpowiedziano, że jeżeli niższa władza nie uznaje potrzeby takiego przedsiębiorstwa, to oni nic w tej sprawie uczynić nie mogą. Zwyczajnie jak i u nas. Tylko że tu Niemiec Polakowi robi trudności, lecz w Galicyi rodak rodakowi. Smutne to, ale prawdziwe. Dodać muszę, że kiedy u mnie przed dwoma latami robiono rewizyę ze strony policyi, jeden dygnitarz policyjny zapytuje mnie, co też porabia teraz p. Postrach, opowiadam mu, jak się ma sprawa i wspomniałem mimochodem o tem, że konsensu dostać nie może, pomimo zapewnienia i t. d. Na to ów urzędnik z ironicznym uśmiechem odrzekł: *„Ani go też nie dostanie.“* — Każdy rozumnie myślący człowiek niech sobie tę odpowiedź rozważy!

Vester.

* * *

Zapowiedź wieca.

Kilonia 11 maja.

Zapowiedziane w mieście naszem w ostatnim czasie wiece, tak na dzień 3-go jak też na dzień 10-go maja, nie odbyły się, nad czem tylko ubolewać należy. O przyczynach wolę nie pisać, natomiast donoszę Rodakom i Czytelnikom kochanej „Pracy“, że tym razem *wiec odbędzie się tutaj napewno dnia 24-go maja na Muhlinstrasse* 72 *punktualnie o godzinie 3-ej po południu.* Upraszam Rodaków, aby się na wiec stawili jak jeden mąż.

Jeden za wielu.

* * *

W sprawie okupienia się Polaków w Ameryce.

Milwaukee Wis, w Kwietniu.

W rozmaitych pismach polskich europejskich, tak w Galicyi, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, jak i w Królestwie Polskiem pojawiały się od czasu do czasu wzmianki i opisy o przybyciu z Ameryki niejakiego p. Modlińskiego z Stevens Point, Wis., rzekomego reprezentanta wielkiej spółki gruntowej braci Worzałów ze Stevens Point, Wis. Pan Modliński głosił, że jednym z celów jego podróży do Europy jest zasięganie bliższych stosunków ze sferami miarodajnemi pod trzema zaborami, a to w celu skierowania Polaków, mających zamiar okupić się na ziemi amerykańskiej i poświęcić się rolnictwu do stanów: Illinois, Michigan i Wisconsin do wielkich kolonii i środowisk polskich farmerów.

Wobec uporczywego powtarzania tych pogłosek przez prasę starokrajską i wobec tego, że do Komisyi Rolnictwa i Kolonizacyi Z. N. P. nadeszło kilka listów z zapytaniem o nową spółkę polską gruntową, Komisya wysłała komitet z dwóch członków złożony, z ob. J. S. Kruszki i K. Rozmarynowskiego, w celu dowiedzenia się na miejscu o szczegółach nowej tej wielkiej spółki gruntowej, która ogłaszając się w pismach europejskich, skłonić może wielu nieświadomych rodaków do emigracyi do Ameryki i szukania gruntów przez ową spółkę.

Komisya zastała w domu młodszego z braci Worzałów, który na zapytanie otwarcie się przyznał, że nowa spółka składająca się z braci Worzałów, nic jeszcze z gruntów nie zakupiła, lecz stara się o tak zwane „option“ (prawo pierwszeńtwa do zakupna) na 1,880 akrów i 2,150 akrów w pobliżu Standish, Mich., i około 5,000 akrów blisko Ladysmith, Wis. W celu obejrzenia tych gruntów właśnie starszy brat wyjechał.

Pytany młodszy pan Worzała przyznał się, że ich redaktor Modliński poprostu „blagował“ w Europie, twierdząc o posiadaniu przez Spółkę 30.000 akrów gruntu. Prywatnie dowiedzieliśmy się, że Spółka ta nie posiada takich funduszów, aby zakupić ogromne obszary i za małą wpłatę dawać osadnikom inwentarz, narzędzia rolnicze itd. jak to p. Modliński twierdzi w swych „wywiadach“ w Europie.

Zdając powyższy raport i ogłaszając go, pragniemy poinformować tych rodaków w starym kraju lub w Ameryce, którzy czytając wzmianki czy to w gazetach europejskich i amerykańskich o podróży pana Modlińskiego w Europie mogli uwierzyć, że rzeczywiście spółka gruntowa polska na wielką skalę założona, powstała i ma odpowiednie grunta dla Polaków, na pośrednictwo tej spółki licząc, decydować się na wyjazd do Ameryki.

Każdy Polak, który pragnie z Europy lub z Ameryki osiedlić się na gruntach, powinien wpierw pisać po informacye do Komisyi Rolnictwa i Kolonizacyi, a takowa z chęcią mu ich udzieli i odpowiedzialne firmy gruntowe poda.

Józef Kruszka,
prezes Komisyi Rolnictwa i Kolonizacyi Zw. N. P.

Milwaukee, Wis. 895—5. Avenue.

* * *

Olbrzymi wiec polski w Detroit.

Detroit, Mich. w kwietniu, 1908.

Śliczna pogoda sprzyjała 26 kwietnia r. b. popołudniu pochodowi na wiec, który się odbył w największej hali detroickiej, w słynnej Light Guard Armory, mogącej pomieścić przeszło 5000 osób.

Po godzinie 1-szej po obiedzie zaczęły się gromadzić przed kościołami towarzystwa parafialne, na salach zaś hal polskich grupy Związku Narodowego Polskiego, towarzystwa wojskowe i gniazda sokole. Wszystkie te organizacye pomaszerowały, prowadzone przez konnych marszałków z sztndarami na czele, ku rogowi ulic Canfield i Woodward, gdzie o godzinie 2 się spotkały. W ten sposób uformował się olbrzymi pochód, który się snuł najmniej przez półtorej mili amerykańskiej czyli przez przeszło 2 kilometry.

Krótko po godzinie 2 wyruszył ten olbrzymi szereg ludzi do śródmieścia. Pochód otworzyła kapela, nastąpiły sztandary batalionów wojskowych z dwoma marszałkami konnymi i dzielnym majorem batalionu Kościuszki, p. Maksem Jurkiewiczem, który okrą-

żył na ognistym rumaku swe kadry, lśniące w promieniach słonecznych, przebijających się co chwilę przez lekkie białe chmury. Potem kroczył batalion Kazimierza Pułaskiego, legion Kościuszki i wszystkie inne towarzystwa wojskowe w mundurach polskich jak Rycerze św. Michała i inne. Dalej kroczyły towarzystwa sokole, żeńskie towarzystwa księżniczki Wandy z odznakami narodowemi, towarzystwo Młodzieży i reszta grup należących do Związku Narodowego Polskiego. Po nich jechali konno marszałkowie poszczególnych parafij i towarzystwa kościelne z wyjątkiem towarzystw z parafii św. Wojciecha, ponieważ proboszcz jej ks. Fr. Mueller poprzednio odmówił prezesów i sekretarzy od wzięcia udziału w pochodzie i wiecu, co tu wyraźnie podkreślamy. Gdyby towarzystwa tej najstarszej parafii polskiej były się przyłączyły do pochodu, byłby on na zewnątrz wypadł jeszcze świetniej.

Cały pochód udał się przed pałac biskupi, skąd Najprzew. ks. Biskup Foley błogosławił przechodzącą polską czeladkę.

Pochód zaimponował wszystkim, tem bardziej, że był przeplatany sztandarami i emblematami polskiemi i amerykańskiemi, co naprawdę przedstawiało wspaniały widok. Nic więc dziwnego, że innoplemieńcy tłumami wylegali na ulicę lub przejeżdżali umyślnie tramwajami, aby się przypatrzeć temu wspaniałemu widowisku.

Krótko po godzinie 3.15 pierwsze szeregi pochodu stanęły przed Light Guard Armory.

Na sali zajęty był już kierowaniem porządku komitet recepcyjny i zanim uczestnicy pochodu zjawili się przed halą, galerye były już formalnie zapchane a środkowa część sali była w połowie zajęta przez liczne grono pań. Hala była pięknie udekorowana barwami narodowemi. Nad sceną umieszczono w środku portret prezydenta Roosevelta, przystrojony wstęgami amerykańskiemi i polskiemi, po prawej jego stronie obraz Jerzego Washingtona, po lewej obraz Kościuszki, oba pędzla naszego rodaka, p. Wojciecha Dziatkiewicza, który do spółki z panami Józefem Sowińskim, profesorem Antonim Fijałkowskim i Stanisławem Dyamentem udekorował halę. Panom tym należy się od ogółu uznanie i podziękowanie za znakomite wywiązanie się z zadania. Cześć im za tę bezinteresowną pracę. Nad portretami unosił się biały orzeł, dar p. Raczyńskiej.

Po nadejściu pochodu hala zapełniła się wkrótce pod kierownictwem komitetu recepcyjnego po same brzegi. Na dworze utrzymywały porządek towarzystwa wojskowe. Niestety musiały się wyrzec przyjemności wzięcia udziału we wiecu, jak tysiące innych rodaków, ponieważ hala była już kompletnie zapchana.

Przebieg wieca był wspaniały. Świetne były mowy polskie; wszelako serce żywiej biło, gdyśmy się przysłuchiwali znakomitym wywodom mówców angielskich, którzy w namiętny sposób charakteryzowali antypolskie ustawy pruskie a z wielką życzliwością wyrażali się o Polakach.

Najprzewielebniejszy ks. biskup Foley skrytykował niemieckie prawa wyjątkowe ze stanowiska kapłana. Sędzia Murphy i adwokat Pound ujęli sprawę ze stanowiska ogólno-ludzkiego, żądając interwencyi rządu amerykańskiego, a burmistrz miasta Detroit, major W. B. Thompson, chwalił Polaków, jako naród szlachetny i tak mówił między innemi: „Nasze miasto Detroit zaprawdę może się szczycić, że pomiędzy swymi obywatelami liczy przeszło 70.000 Polaków. Polacy, przyjechawszy tu, biorą się natychmiast do pracy, natychmiast budują sobie domy, a nieraz przed pobudowaniem domu, budują wspaniałe kościoły; kościołów takich, jak polskie nie ma żadna narodowość w Detroit. Niedawno temu było bardzo mało Polaków w Detroit, lecz dziś jest ich tu masa, a wszyscy są wzorowymi obywatelami, wszyscy przestrzegają prawo, zakładają interesa, które prowadzą doskonale i wzbogacają miasto, coraz to więcej. Polakom powodzi się tu dobrze, bo pracują szczerze i uczciwie. Życzę im najlepszego powodzenia pod każdym względem.“

Wszystkie mowy przerywano bardzo często rzęsistemi, długotrwałemi oklaskami.

W końcu uchwalono jednogłośnie rezolucye, protestujące przeciw nowym prawom antypolskim pruskim.

„Braciom naszym w pruskim zaborze — tak się kończą rezolucye — przesyłamy wyrazy serdecznego współczucia i uwielbienia dla ich bohaterskiej wytrwałości wobec niesłychanych klęsk, które na nich spadają. Wzywamy na ich głowy pomocy Opatrzności i wierzymy mocno, że wrodzona Polakom siła moralna, energia i odporność przemogą wszelkie prześladowania. Oby głos podniesiony w obronie uciemiężonych i prześladowanych znalazł echo we wszystkich sercach szlachetnych.“

Rezolucye wysłano w języku angielskim do kanclerza Niemiec ks. Buelowa, do prezydenta Roosevelta, obu senatorów i do kongresmanów naszego dystryktu detroickiego.

Wspaniały wiec, który liczył 8000 uczestników, zakończono odśpiewaniem hymnu: „Boże coś Polskę“.

Gorliwy czytelnik „Pracy“ i uczestnik wieca.

* * *

Głos z Ameryki o wzroście kościoła.

Detroit, Mich. w kwietniu 1908.

Zapewne wielu z czytelników przypomina sobie, jak przed kilku laty dość poważna liczba Polaków-katolików z powodu pewnych rozporządzeń biskupów amerykańskich w sposób gorszący i haniebny odstąpiło od Kościoła i utworzyło schizmę. Nazwali się Polacy ci „Niezależnymi,“ to znaczy niezależnymi od Papieża i biskupów i założyli „Kościół polsko-narodowy“. W wielu miejscowościach jak np. w Detroit nawrócili się rodacy już po kilkuletniem zaledwie odszczepieństwie. Do dziś atoli zachowała się herezya w szerszych rozmiarach pomiędzy pewną częścią Polonii w Scranton, Pa, Chicago, Ill i Buffalo, N. Y. Początkowo święcił kościoły ich staro-katolicki biskup — również heretyk — Villate. Lecz z czasem zamieniła się owa „niezależność“ w tyrańską zależność, skoro księża, przepłaciwszy biskupów starokatolickich, zostali konsekrowani na „biskupów“. I tak zaledwo rok temu umarł w Chicago „biskup“ Kozłowski, zostawiwszy po sobie swym zwolennikom dość smutną pamięć, gdyż wyszły na jaw tak brudne sprawy, których człowiek nawet w Boga nie wierzący bałby się czynić. Drugim takim biskupem jest ex-ksiądz Stedur w Scranton. Jemu udało się uwieść największą część zaślepionego ludu pod płaszczykiem patryotyzmu, a po części i dzięki wymowie, jako też wielkiemu zaufaniu, jakie mają do niego przedewszystkiem dewotki. Dlatego zmieniwszy rytuał łaciński na polski, zniósłszy zupełnie posty, celibat, a zaprowadziwszy wygodne prawa odpowiednie obecnym dążnościom świata zepsutego, trzyma do dziś jeszcze rodaków w swych niewolniczych karbach. Trzecim „biskupem“ niezależnym, nawet tylko przez lud obranym, jest ex-organista Kamiński w Buffalo.

Sformował on kilka lat temu niezależną parafię, a świątynię nazwał katedrą Matki Boskiej Różańcowej. W październiku roku zeszłego kościół się spalił; od tego czasu było rozdwojenie w parafii jego. W ostatnich zwłaszcza dniach powstał tamże wielki ruch w interesie pojednania się niezależnych

z Kościołem kat. Bawi tam obecnie ks. prałat dr. Rodziewicz, rektor seminaryum z Petersburga. Usiłuje on zagoić rany zadane Kościołowi kat. w Ameryce. Przemawiał w tym celu do licznie zgromadzonych odszczepieńców. Zgromadzenia te były potwierdzone przez Najprzew. ks. biskupa Coltona, a celem ich było, aby niezależnym katolikom dać sposobność do powrotu do prawdziwego Kościoła. Dzięki wywodom Przew. ks. Rodziewicza większość odpadłych Polaków zachwiała się w swym oporze i postanowiła ze skruchą i żalem powrócić na łono Kościoła. Liczba zwolenników Kamińskiego spadła z 3000 na połowę, a część pozostałych dlatego tylko trwa jeszcze w odszczepieństwie, że na ich majątku ciąży dług kościoła, bo inaczej dawno byliby się nawrócili, skosztowawszy owej „niezależności.“

Równie chwiejna jest herezya w Chicago. A można się spodziewać, że za pomocą Boga lud uzna błąd swój i wkrótce nawróci się, gdyż jest tylko omamiony przez swych kierowników, ludzi nie uznających żadnej władzy nad sobą, a zatem pysznych i przytem umiejących wyzyskać naród polski na korzyść własnej kieszeni, a znaną rzeczą jest, że dolar amerykański ma to do siebie, iż potrafi zjednać sobie zwolenników, choćby nawet przez oszustwo samych siebie.

Dodać wypada, że Kościół katolicki w Ameryce wzrasta znacznie nietylko przez nawracanie się niezależnych Polaków. Również pastorowie anglikańscy powracają na łono Kościoła. Dotychczas było już kilka wypadków, że konwertyci tacy pociągali za sobą na łono Kościoła całe swe gminy, a przynajmniej dość wpływowe rodziny. Nawet biskupi anglikańscy pertraktują ze Rzymem w celu pojednania się z Kościołem.

Tak zwykle się dzieje, że skoro pewna część ginie dla Kościoła, jak np. po dziś dzień we Francyi, to z innej strony Pan Bóg powiększa liczbę swych wiernych. *J. W.*

Mocna to zbroja z poczciwością cnota,
Ta sławy strzeże — a broni kłopotu.

Mikołaj Rej.

* * *

A szkoda zwać człowiekiem, kto bydlęco żyje.

Jan Kochanowski.

* * *

Prawdziwa ozdoba, cnotą ma być nabywana, a okrom niej ani pomyśleć o tem.

Andrzej Frycz Modrzewski.

W chacie i w polu.

I.

Obielił nam nasze chaty
Nowy dzionek złoty:
Widniej, widniej teraz ludziom,
Co w niej do roboty.

Do roboty — grodzić płoty,
Okopywać rowy,
Strzedz na siłę, co nam miłe
Na ten roczek nowy.

Do roboty — bić wyloty
Na słoneczną stronę,
Niech uderzy dzionek świeży,
W te ściany omszone.

Do roboty — przede wroty
Umieść czysto progi,
Wyrwać chwasty, cierń kolczasty,
Co nam rani nogi.

Do roboty — trząść wymłoty
Co plewa, co ziarno,
Mieć na chleby z własnej gleby
Mąkę, choćby czarną.

Do roboty — walić w młoty
O kowadło życia,
W huku, w trzasku, w iskier blasku
Krzesać serca bicia.

II.

Ażeby, wietrze, nie było ciebie,
Ktoby te chmury pędził po niebie,
Ktoby zawodził nad tą mogiłą,
Gdzie ten krzyż stary z wierzbą pochyłą,
Nad tą mogiłą, nad tą stepową,
Ktoby zawodził pieśnią echową!

Ażeby, wietrze, nie było ciebie,
Ktoby roznosił dzwon na pogrzebie,
Ktoby roznosił ten jęk daleki
Z za siódmej góry, z za siódmej rzeki,
Ten jęk, co płynie na nasze pole!...

III.

— Czego ty bledniesz, ty zorzo krasna,
Czego się mącisz, ty wodo jasna?
Czy cię złe wiatry zdala obwiały?
Czy się złe kruki w tobie kąpały?

— Nie tego bledne, że wiatry wiały,
Ale że świecę drogę oraczą...
— Ni się złe kruki we mnie kąpały,
Ale tam płynę, gdzie ludzie płaczą.

IV.

Ciemnym lasem pieśni moje
W niebo uderzyły...
Ciemnym lasem, co się puścił
Z wioskowej mogiły.

I padł od nich cień na skraje,
Na te puste łany,
Gdzie od wiosny aż do wiosny
Ugór nie orany...

I padł od nich cień daleki,
Aż na zachód słońca,
Zahuczały, zaszumiały,
Jak lira grająca.

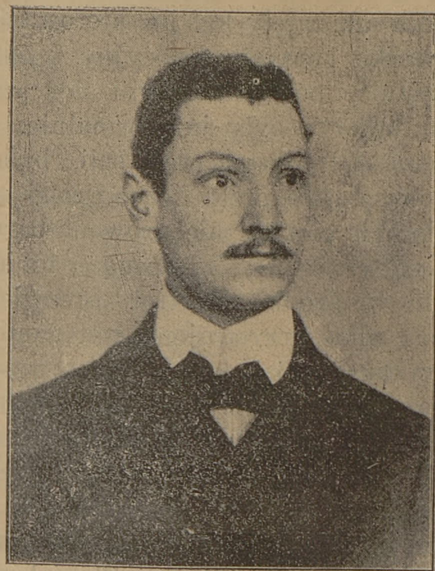
Zahuczały, zaszumiały,
Jako bystre zdroje;
A w ich gęstwie słowik śpiewa,
Smutne serce moje.

Marya Konopnicka.



Z północnej Wenecyi.

Kto ma dość czasu i pieniędzy, a przedewszystkiem ochotę do dłuższej podróży, ten niech nie zapomina o północnej Wenecyi, jak nazywają często dumną stolicę Szwecyi. — Czy duma ta uprawniona jest, czy nie, o tem niech sądzi indywidualny gust odwiedzającego to miasto; pewna tylko, że nazwa „Wenecyi“ wcale nie może odnosić się do Sztokholmu. Wenecya jest wyspą otoczoną morzem, leżącą daleko od lądu; Sztokholm zaś leży na samym lądzie, który jest prawie rozszarpany niezwykłem mnóstwem zatok tak zwanych fjeldów. — Wogóle możnaby sądzić, że żadnej granicy niema między lądem i morzem tak w okolicy Sztokholmu, jak też na całej przestrzeni tego oryginalnego kraju. — Gdy jedziemy morzem do Sztokholmu,

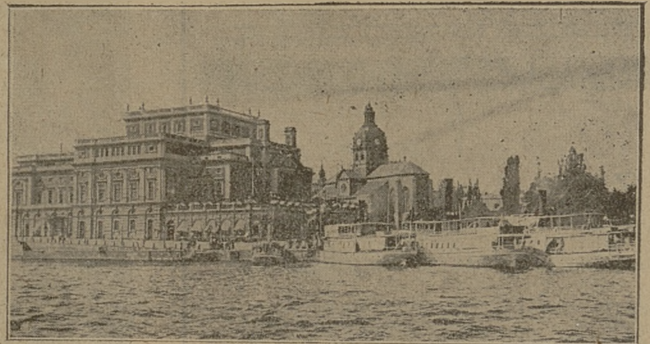


Arpad d' Eperjéssy,
autor niniejszego artykułu, jest młodym urzędnikiem ministerstwa we Wiedniu, poświęcającym się karyerze dyplomatycznej. Obdarzony niezwykłym talentem do języków, nauczył się w krótkim czasie tylko przez czytanie „Pracy“ języka polskiego i przesłał nam na naszą prośbę niniejsze wspomnienie z podróży. Pan d' E. jest gorącym przyjacielem Polaków i odwiedził nas nie dawno temu.

uderza nas mnóstwo rozsypanych wysp, których wielkość i gęstość wciąż wzrasta, ograniczając morze coraz bardziej. Wyspy te wyglądają, jak skaliste szczyty podmorskich gór; pokrywają je gęste lasy, i tylko z trudnością służyć mogą człowiekowi za miejsce zamieszkania.



Zamek królewski w Sztokholmie.



Teatr królewski i kościół św. Jakóba w Sztokholmie.

Z początku ledwie widać na nich znaki ludzkiej kultury, lecz im dalej nas droga prowadzi, tem częściej spostrzegamy tu i owdzie poszczególne mieszkania, które w pobliżu Sztokholmu mają charakter regularnych miejscowości. Doznajemy na ten widok wrażenia, że zbliżamy się do jakiegoś potężnego środowiska, które jeszcze gromadka wysp zakrywa przed naszemi oczyma.

Morze staje się tymczasem tak wązkiem, że płyniemy jakoby w cieśninie morskiej; jest to jeden z niezliczonych „fjeld-ów.“ Tak płynąc, mijamy wyspę po wyspie, aż nareszcie — znajdujemy się niespodzianie w samem mieście — to północna Wenecya — Sztokholm! Dziwny to widok! Budynki o rozmaitych rozmiarach gromadzą się na całej powierzchni skalistego brzegu; domy zdają się stać jeden na drugim. Tu i owdzie widać elewatory łączące górne ulice z niższemi.

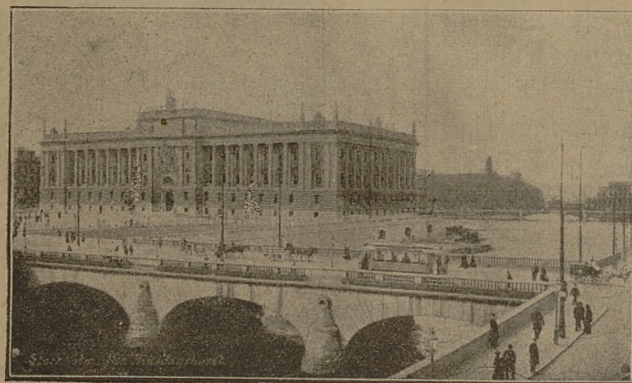
Olbrzymia skała, którą wytrwała praca ludzka mieszkalną zrobiła, w rozmaitych punktach przewiercona jest tunelami, aby umożliwić komunikacyę.

Wcale nie odniesiemy wrażenia Wenecyi, jeżeli przyjrzymy się, w jaki sposób pod względem czysto technicznym Sztokholm się buduje; napróżno też szukałbyś wiecznie pogodnych niebios włoskich przez to dymem przesycone, smutno-czarne powietrze. Ledwie wyrozumieć podobna, dlaczego szwedzka ludność wybrała właśnie to miejsce, wymagające takiego nakładu pracy i pieniędzy, jeżeli ma służyć, jako wielka osada ludzka. Czy są inne miejsca tego kraju jeszcze trudniejsze do uprawienia? czy też stoimy tylko na progu właściwego centrum miasta? — Tak jest. To, co widzimy, jest tylko **południowa dzielnica miasta**, t. zw. „Södermalm.“ Właściwe stare miasto — lepiej mówiąc: miasteczko — leży na wyspie sąsiedniej. Wogóle przedstawia ono ten sam obraz, jak owa dzielnica. Widać i tu gromadę starych, okopconych domów; ale droga prowadzi nas dalej. Omijamy „Staden,“ jak tę wyspę nazywają, w tem otwiera się przed nami nowa część miasta o prawie zupełnie innym charakterze. Morze, parte z dwóch stron, tworzy cieśninę.

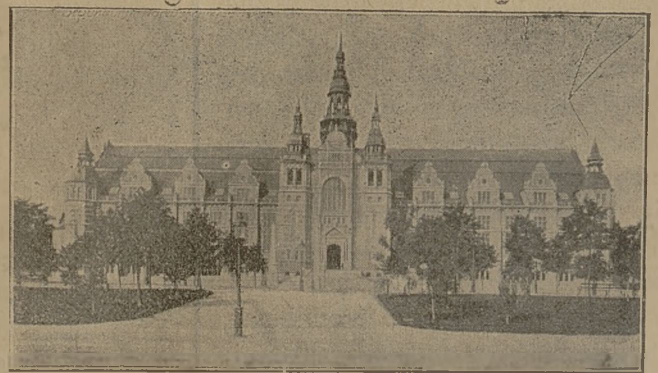
Tam jest zgromadzone w jednem punkcie prawie wszystko, co jest w Sztokholmie godne widzenia. Na lewo, na stronie „Staden,“ leży potężny zamek królewski, na przeciwko niego, na drugim brzegu cieśniny stoi teatr królewski. Przed nim widzimy elegancki, dobrze odwiedzany ogród, plac Karola XIII-go. Za teatrem jest plac Gustawa Adolfa z wielkim posągiem tego króla. Pomiędzy obydwoma stronami lądu stoi całkiem otoczony morzem, wytworny gmach parlamentu szwedzkiego, budowany z czerwonawych kamieni. Oto grupa budynków, odznaczających się w otoczeniu wody i mostów nader oryginalnym, a także niezwykłym wyglądem; tworzy ona tak specyalną i charakterystyczną cechę Sztokholmu, że właściwie go z żadnem innem miastem w świecie porównać nie można.

Minąwszy tę okolicę, przepływamy pod mostem do szerokiej zatoki. Tu ze zdumieniem spoglądamy na brzeg leżący w dali przed nami. Jest tam olbrzymie miasto, odznaczające się wszelkiemi oznakami nowoczesnego wielkiego środowiska ludzkiego. Eleganckie pałace wznoszą się na całej i bardzo długiej linii. Tej dzielnicy najłacniej jeszcze możnaby dać nazwę „Wenecya,“ lecz możnaby ją takiem samem prawem porównać i z Budapesztem, jak wogóle z każdem nowoczesnem miastem, położonem nad morzem albo szerszą rzeką. Tam gdzie długa linia pałaców się kończy, otacza nas znów nadzwyczajnie bujna przyroda Szwecyi.

Ostatnim budynkiem w szeregu pałaców jest północne muzeum (:Nordiska museet:). Po za niem rozciąga się obszerny dobrze pielęgnowany park: jest to tak zwany „Djurgarden.“ W lecie jest tam przepięknie. Przez długie godziny możesz tam spacerować i zabawić się widokiem wysp i fjeldów. W zimie zaś masz najlepszą sposobność zajmować się sportem, robić wycieczki, biegając na „ski,“ lub na łyżwach, gdy wszystkie wody zamarzną a przyroda żadnej granicy nie przeciwstawia twoim sportowym zamysłom. — Sztok-



Gmach parlamentu szwedzkiego w Sztokholmie.



Północne muzeum w Sztokholmie.

holm daje więc wszystko temu, kto przybywa celem zabawienia się i chociażbym mimo to nikomu nie radził, na stałe w Sztokholmie zamieszkać, to jednak powiedzieć muszę: Kto ma czas, pieniądze i ochotę do dłuższej podróży, niech nie zapomina o odwiedzeniu „północnej Wenecyi!"

Arpad d'Eperjessy.



Z żałobnej karty.

Śp. ks. prałat Walery Stryjakowski.

Parafianie łabiszyńscy smutne mieli święta wielkanocne, gdyż w tym czasie odbywał się w Łabiszynie pogrzeb ukochanego ich pasterza, śp. ks. prałata Walerego Stryjakowskiego, tajnego szambelana Jego Świętobliwości.

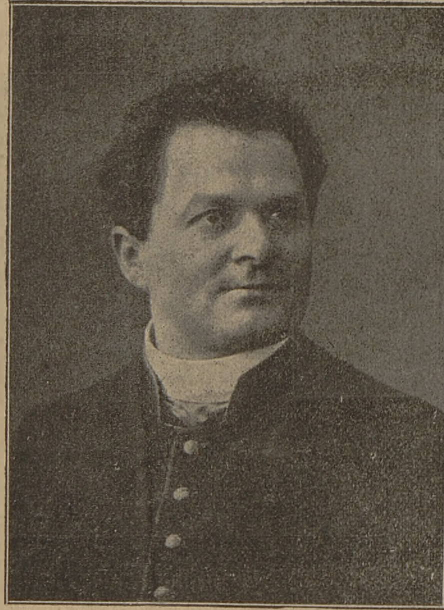
Ś. p. ks. prałat Stryjakowski, wyszedłszy w wielką środę do ogrodu, by obejrzeć pracę obok nowostawianej figury Bożej Matki, nagle upadł. Podniesiony przyszedł na chwilę do siebie. Przywołany ks. wikary zdołał zaledwie udzielić mu absolucyi, i już ks. prałat nie żył.

Nieboszczyk zmarł w sile wieku, licząc zaledwie lat 42; urodził się w roku 1866, święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1891, przez dłuższy czas był kapelanem śp. ks. arcybiskupa Stablewskiego, a od roku 1898 proboszczem w Łabiszynie.

Zmarły prałat był wychowańcem ery kulturkampfu. — Nauki teologiczne pobierał na uniwersytecie w Monasterze. Krótki czas był wikaryuszem. Śp. arcybiskup Stablewski poznawszy go bliżej, powołał go na swego kapelana. Cieszył się nieograniczonem jego zaufaniem i nieraz dzięki towarzyskim i dyplomatycznym swym zdolnościom, był wysłańcem arcybiskupa w ważnych dla dyecezyi sprawach — zawsze ku jej pożytkowi. Szambelaństwo było zewnętrzną oznaką uznania ze strony władzy kościelnej. Zaufanie i osobista przyjaźń arcybiskupa były zmarłemu droższemi.

Otrzymawszy prezentę na probostwo w Łabiszynie, poświęcił się pracy pasterczej z całą energią swej niezłomnej woli. Odnowienie starego kościoła, ochronka są tylko zewnętrznem świadectwem jego pracy. Wewnętrzną jego pracę w parafii samej błogosławić będzie zawsze osierocona dziś parafia.

Nie zasklepiał się w pracach wewnątrz kościoła. Brał czynny udział w pracy społeczno-politycznej. Związki robotnicze, komitety wyborcze i wszelkie nasze organizacye polityczne miały w nim dzielnego i gorącego propagatora. Tam, gdzie nie mógł jawnie występować, służył chętnie i gorliwie ra-



† Ks. prałat Walery Stryjakowski.

dą i wskazówkami, a często był duchem, który pchał do pracy czynnej. Nasza „Straż" w wdzięcznej zachowa go pamięci."

Dowodem znaczenia, miłości i szacunku, którym się cieszył nieboszczyk, był liczny zjazd obywatelstwa i duchowieństwa na eksportacyą i pogrzeb.

W niedzielę wielkanocną przy wyniesieniu trumny z ochronki przemawiali imieniem obywatelstwa pan Julian Brzeski z Krotoszyna i pan dr. Gantkowski z Poznania.

W poniedziałek wielkanocny po nabożeństwie parafialnem rozpoczął się żałobny obrzęd pod kierunkiem ks. prałata Ponińskiego. Przemawiał ks. prałat Laubitz z Inowrocławia, żegnając serdecznemi słowy Zmarłego. W przemówieniu swem scharakteryzował jego kapłańską i obywatelską działalność, podkreślając raz jeszcze wobec całej parafii niezłomność woli i energią czynu śp. Zmarłego. Warto tu zaznaczyć z przemówienia ks. prałata to jedno, mniej znane szerokim kołom: śp. Arcybiskup Stablewski wysyłał go w poufnych misyach do Berlina. I gdy swego czasu krytyczna była chwila co do dalszych dodatków rządowych na budujące się wówczas seminaryum duchowne w Poznaniu śp. ks. Stryjakowski mimo młody swój wiek, umiał w Berlinie rzecz tak pomyślnie załatwić, że rząd wypłacił całą dodatkową sumę.

Przy zwykłych śpiewach smutnych i ponurych wyprowadzono następnie zmarłego duszpasterza, by na wieczny złożyć go spoczynek między parafianami, dla których dobra tyle dobrego zdziałał za życia Swego.

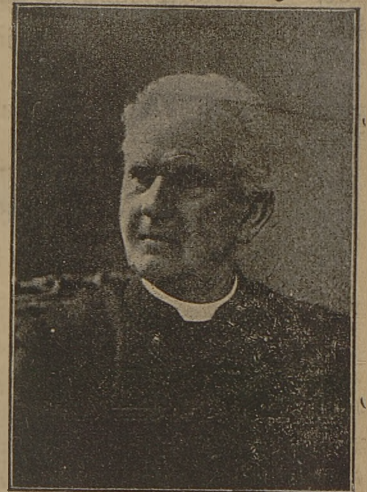
Podpadało ogólnie — pisze „Dz. Bydg." — że dzieci szkolne nie wzięły udziału w pogrzebie śp. ks. Stryjakowskiego. Fakt ten mówi dobitniej niż sto artykułów gazet o dzisiejszej szkole. Nadmieniamy, że szkoła i plebania w Łabiszynie pod jednym znajdują się dachem, w starym klasztorze.

Cześć zacnej pamięci gorliwego kapłana, dzielnego obywatela i gorącego patryoty! Wieczny spokój duszy Zmarłego!

Do więzienia.

Siedemdziesięciosześcioletni staruszek, ks. proboszcz Edmund Byczyński z Gromadna, zasądzony dnia 15-go maja r. z. przez Izbę karną sądu ziemiańskiego w Pile za rzekome podburzanie do strejku szkólnego (par. 110 i 130 a kodeksu karnego) na *dwa miesiące fortecy*, rozpoczął karę odsiadywać dnia 12-go bm. we fortecy we Wisłoujściu.

Sędziwemu kapłanowi-patryocie, który także w pierwszej walce kulturnej przez władze pruskie był ścigany i fantowany, życzymy, aby kaźń wie-



Ks. proboszcz Byczyński.

zienną przetrwał szczęśliwie przy pomocy Najwyższego i powrócił, nie złamany na zdrowiu, do swych parafian.

Przeklęte głowy, które fałsze kreślą,
I ten, co język swój bluźnierstwem zmazał.

Elżbieta Drużbacka.

Nie ten u mnie żył długo, kto wiek przeżył długi,
Lecz kto życie wielkiemi ozdobił zasługi.

Adam Naruszewicz.

Kto chce być długo starym, trzeba, iżby był krótko młodym.

Ignacy Krasicki.



Wszystko dla dzieci.

Szlachetny monarcha austryacki wyraził życzenie, aby 60-letni jubileusz jego rządów uczczono nie uroczystymi obchodami, ale wyłącznie przez dobroczynne zapisy dla dobra ogólnego, a w szczególności dla dobra dzieci. Postanowiono tedy polecić publiczności obszerną akcyę w sprawie opieki nad dziećmi, jako cel patryotycznych dążeń roku jubileuszowego.

Państwo zajmując się dziećmi dba tem samem o własną przyszłość. Aczkolwiek wielkie jest zainteresowanie losami dziecka, to przecież państwo mimo obfitości środków, nie może tutaj bezpośrednio występować i na żadnem polu nie jest rząd bardziej na dobrowolną współpracę społeczeństwa skazany, jak przy bezpośredniej pieczy nad dzieckiem.

Liczne i różnorakie są zadania, które zamyka w sobie rzeczywiście obszerna opieka nad dziećmi.

Należy utworzyć szkoły matek i zakłady rozdzielenia mleka niemowlętom, ażeby zwalczać złowrogo wysoką śmiertelność wśród niemowląt naszego państwa i ograniczyć ją do naturalnej miary.

Dla młodzieży bogatych w ludność miast, spragnionej światła i powietrza, należałoby utworzyć miejsca wypoczynku na świeżem powietrzu i sanatorya w dostatecznej liczbie.

Natomiast dzieciom na wsi, które nie cierpią na brak powietrza i światła, ale którym brak najprostszej hygieny, zapewnić wzorową opiekę i lepszą pieczę przez odpowiednie pisma i pouczające wykłady dla rodziców i opiekunów.

Zdobycze ortopedyi musi się uprzystępnić szerokim masom, ażeby liczne młode egzystencye znalazły wybawienie od niebezpieczeństw kalectwa na całe życie.

Straszna choroba, grasująca wśród ludu, gruźlica, pociąga za sobą właśnie ze świata dziecięcego bardzo liczne, najświetniejsze ofiary. Publiczne zakłady leczenia w zdrowym klimacie mogłyby niejedno młode życie uratować.

Ta krótka lista zawiera nieznaczną część wielkich socyalnych i humanitarnych przedsięwzięć, które raz poznane, stają się obowiązkiem. Mimo to można z tego poznać rozmiary i znaczenie socyalnej akcyi, którą austryackie społeczeństwo w roku jubileuszowym kochanego monarchy ma dokonać, poznać ogromne pole, jakie czeka uprawy. Wszystkie narodowe i społeczne siły muszą współdziałać, jeżeli ma być stworzony godny pomnik okresu Franciszka Józefa.

Pogadanka naukowa.

Czy ziemi ubywa?

Temi dniami otrzymaliśmy od pewnego czytelnika list, w którym zastanawia się nad tem, czy ziemia nie traci na wadze przez to, że węgiel, nafta, drzewo, torf, spirytus, benzyna i t. d. ciągłemu podlegają zużyciu przez palenie. Dalej zadaje sobie ów czytelnik pytanie, czy ziemia wskutek tego ubytku na wadze na modłę balonu nie wznosi się coraz wyżej ku słońcu, przez co temperatura stale się obniża.

Odpowież na to krótka: Ziemi ani przybywa, ani ubywa. Nic bowiem nie ginie w naturze.

Spalenie jest niczem innem jak intenzywną oksydacyą tj. połączeniem się tlenu z powietrza z palonym przedmiotem. Przedmiot ten wskutek tego procesu ulega zmianom tak chemicznym, jak fizykalnym, jednakże w bilansie natury te zmiany nie odgrywają roli, gdyż jest to tylko przeniesienie poszczególnych pierwiastków z jednego miejsca na drugie.

Weźmy przykład konkretny. Palimy n. p. drzewem. Kładziemy do pieca kłodę ważącą kilka funtów i podpalamy. Tlen z powietrza łączy się z palnemi częściami owej kłody, i po pewnym czasie zostało w piecu kilka garści lekkiego popiołu. Drzewo się spaliło. Ponieważ drzewo cięższe jest, jak popiół, możnaby sądzić, że ziemi, zaklętej w formę drzewa opałowego, ubyło. Jednakże tak nie jest. Drzewo to paląc się wydzieliło z siebie dużo kopciu t. j. delikatnie rozpylonego węgla, tudzież ogromną ilość gazów (węgliku i innych), które uleciały w powietrze. Jeżeli teraz zbierzemy popiół a także owe dymy i gazy, które ulotniły się w powietrze i wszystko razem zważymy, pokaże się, że ogólna suma produktów spalenizny wynosi tyle, ile ważyła pierwotnie do pieca włożona kłoda drzewa plus tej ilości tlenu z powietrza, która była potrzebna, by spalenie mogło się dokonać.

Może teraz kto powiedzieć: W teoryi tak jest, lecz praktycznie traci ziemia owe dymy i gazy, gdyż uleciały w powietrze. Lecz i to nie zgadza się z prawdą. Kopeć—to każdy na własne oczy widzi — prędko wraca do ziemi, jest cięższy od powietrza, więc osiada. Gazy czynią to samo. Węglik n. p. — główny produkt spalenizny — także jest cięższy od powietrza, więc i on spada na powierzchnię ziemi. Do wnętrza ziemi dostaje się on bądź to spłukany przez mgły i deszcze, bądź to za pośrednictwem roślin. Tak jak człowiek potrzebuje do oddychania tlenu, który czerpie płucami z powietrza — tak roślina oddycha węglikiem. Płuca roślin — to liście. One to wchłaniają w siebie ogromne masy węgliku, który zużywają po stósownej przeróbce chemicznej na wytworzenie komórek rośliny, wydając z siebie tlen i kompletując w ten sposób zapas tlenu powietrza, zużyty przy wszelkich procesach oksydacyjnych, a więc także przez płuca ludzkie i zwierząt przy oddychaniu. Gdy zaś roślina zamiera, miesza się z ziemią podobnie, jak ciało ludzkie, i oddaje jej zaczerpnięte z niej składniki do ostatka.

Tak więc widzimy, że ziemia nic nie traci i nic jej nie przybywa. Bóg wszystko w naturze urządził nieskończenie mądrze i doskonale.

Ponieważ ziemia nie traci na wadze, nie może się też wznosić ku słońcu. Mylne również jest mniemanie, jakoby klimat stawał się ogólnie na świecie ostrzejszy. Przeciwnie, klimat łagodnieje i wyrównuje się. A powodem tego jest lepsza uprawa ziemi niż przed wiekami, osuszenie bagien i jezior i racyonalne prowadzenie lasów.

Pogadanka hygieniczna.

Zachowujmy umysł swobodny, dbając o zdrowie!

Stan umysłowy człowieka, usposobienie jego ma znacznie większy wpływ na zdrowie cielesne, aniżeli zwykle się przypuszcza. Siły zmysłowe i umysłowe oddziałują wzajemnie na siebie. Jasnem jest, że podobnie jak cierpienia cielesne wywołują przygnębienie umysłu, a nierzadko stały chorobliwy stan duszy, tak też naodwrót przygnębienie umysłowe, spowodowane przykrościami, zmartwieniem i innemi ujemnemi wpływami na duszę, odbijać się musi na czynnościach ustroju cielesnego, wzbudzać jego równowagę. Istotnie też dowiedzioną jest, że u osób zdrowych pojawiały się bez widomych zewnętrznych przyczyn zaburzenia w ustroju i różne chorobliwe stany, skoro osoby te przez pewien czas martwiły się mocno i kłopotały. Przyjemne na-

tomiast wrażenia duchowe działają ożywczo na ruch krwi, albowiem poruszają prądy czulcowe (nerwów), które znów pobudzają krew do żywszego obrotu. W ten sposób w każdej części ciała, w każdym narzędzie daje się odczuć podniecenie, a działalność fizykalna całego ustroju wzmaga się, usuwając wszelkie nieprawidłowe czynności, wszelkie pomniejsze nieporządki. Każdy z nas może już zauważył na sobie, że nerwowy ból głowy i t. p. cierpienia znikały po krótkim czasie pod wpływem miłych wiadomości, radosnych wzruszeń, pod wpływem zajmującej rozmowy w wesołem towarzystwie, pod wpływem czytania zajmującego lub słuchania muzyki, i t. p. Pamiętajmy więc o tem, że zbytnie uleganie smutkowi, uczuciom obawy i troski działa niekorzystnie na zdrowie ciała, że utrzymać zupełną równowagę działań cielesnego ustroju możemy wtedy jedynie, gdy staramy się stale utrzymywać równowagę umysłu, zachowywać sobie swobodę. Wówczas i dolegliwości cielesne, wywołane skutkiem zewnętrznych ujemnych wpływów (przeziębienia, obrażenia cielesne i t. d.) łatwiej zniesiemy, a skutki ich prędzej zatrzeć zdołamy. I każde cięższe niedomaganie i chorobę pokonuje łatwiej i prędzej powraca do zdrowia człowiek, starający się o zachowanie pogody umysłu. Uchylajmy od chorych wszystko, coby ich umysłowo przygnębiać mogło, a starajmy się zaprzątać ich umysł przyjemnemi wrażeniami. Będąc zaś zdrowi, dbajmy ciągle o przystojne rozrywki dla umysłu, ażeby mu zachować swobodę, a tem samem podtrzymać i zdrowie ciała.

Ogrodnictwo.

Rzut oka w przeszłość.

III.

To co powiedziałem o azalijach, da się również w głównych zarysach zastosować do różaneczników (Rhododendron), tylko ojczyzną ich są kraje bardziej różnorodne, a przeto i wygląd ich wielce różny. Gdy R. ferrugineum, hirsutum i chamaecistus są mieszkańcami Alp Europy, inne rosną w Indostanie i w Himalajach. R. chamaecistus jest roślinką tak maleńką jak macierzanka, tymczasem R. arboreum, Fallconeri i in., wyrastają w prawdziwe drzewa, nawet u nas przy odpowiedniej hodowli i pomieszczeniu. R. ponticum z nad m. Czarnego, R. dahuricum z nad Bajkału, R. chryzanthum z tundr Syberyi i Kamczatki, R. maximum i Catarobiense z Ameryki Półn. wytrzymują zimy nasze pod okryciem z liści i w ziemi wrzosowej, tymczasem R. jasmini-florum z Malaki i R. javanicum z Jawy, potrzebują prawie gorącej szklarni. Rzeczą jest naturalną, że z tego tak zajmującego roślinnego rodzaju, otrzymano bardzo liczne krzyżówki, które odznaczają się wspaniałemi kwiatami. Największe w tej dziedzinie zasługi położyli Seiden i Liebig w Dreźnie. Znalazły się nawet dwa pełne różaneczniki: R. fastuosum fl. pl. i R. hyacinthiflorum.

Przez jakiś czas modnemi były odmiany kwitnące żółto i pomarańczowo, które pochodzenie swe zawdzięczały zmieszaniu z azaliją. Dziś celem jest otrzymanie odmian obficie kwitnących, o kwiatach wielkich, przy nizkim wzroście, a cel ten osiągnięto w sposób podziwu godny. — Osobliwem jest to, że ze wspaniałych, po części wonnych odmian himalajskich nie dało się otrzymać żadnych krzyżówek. Może przyczyną tego jest małe ich spokrewnienie z innemi gatunkami, a może też dopiero przyszłość obdarzy nas temi nowościami. — Przechodzę do rodzaju bogatego w gatunki i odmiany — do Ukośnic (Begonia). Różnice pomiędzy niemi są tak wielkie, że nieogrodnikowi trudno uwierzyć, by wszystkie te formy do jednego należały rodzaju. Można je podzielić na trzy grupy, główne, które znów na podrzędne podzielić się dają.

Najstarsza z nich obejmuje krzaczaste, po większej części wysokie i zdrzewniałe. Typami dla nich są: B. argyrostigma, nitida, zebrina. Drugą grupą są U. liściaste, nie tworzące nigdy łodygi właściwej. Pomiędzy pierwszemi, a drugiemi stoi całe mnóstwo gatunków, posiadających w środku mięsisty pniaczek; typem ich są: B. manicata i carolineaefolia. Trzecią grupę stanowią U. bulwiaste tj. na jesieni tracące wszystkie części nadziemne i pozostawiające tylko bulwkę w ziemi. Te można łatwo przechować w wolnej od mrozu piwnicy, albo w zimnej szklarni, bez potrzeby podlania. Z dwóch pierwszych tj. łodygowych grup mało powstało odmian, natomiast liściaste wyróżniły się zwłaszcza od czasu wprowadzenia w r. 1850 Beg. Rex; wywołała ona zachwyt, a wkrótce otrzymano z niej ślicznym rysunkiem ozdobione odmiany. Były one niegdyś roślinami modnemi a i dziś jeszcze chętnie je wszyscy widzą, ponieważ dają się przystosować do warunków pokojowych; wszelako odmian liczba zmniejsza się. — Trzecia grupa panuje teraz nad światem i jest przedmiotem sportu. Zawiera się w niej wielka ilość roślin ozdobnych, pierwszorzędnych, bajecznie pięknych, jeżeli są odpowiednio hodowane. Na przodzie poszła B. discolor (Evansiana) sprowadzona już bardzo dawno z Chin. Była ona jedyną przedstawicielką bulwiastych, a posadzona w półcieniu, w ziemi liściowej stanowiła wspaniałą ozdobę ogrodów w lecie. Za nią poszły: B. diversifolia i B. Martiana i in. odznaczające się zadziwiającą własnością wytwarzania w kątach liści małych bulwek, służących do rozmnażania. Powinny one były właściwie osobną grupę stanowić, lecz dziś są już nieco zapomniane, gdyż pomimo, że były piękne, nie wywarły wpływu na zdobycze nowszych czasów w tym dziale. Właściwy taniec koło nich rozpoczął się dopiero z wprowadzeniem gatunków szkarłatnych, z Chili, Meksyku, Boliwii itp. Można śmiało po-



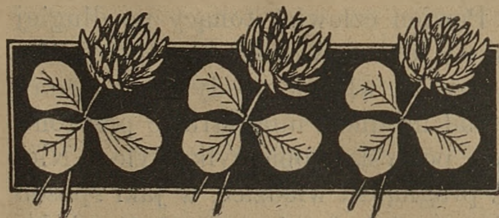
Zagroda Michała Drzymały w Podgradowicach pod Rakoniewicami w W. Księstwie Poznańskiem, składająca się ze stodoły, chlewa i nowego wozu.

(Bliższe szczegóły o nowym wozie zamieściliśmy niedawno jednocześnie z ryciną tegoż w numerze 17-tym „Pracy“.)

wiedzieć, że żaden gatunek roślinny nie uległ takim przemianom jak te ukośnice. Kwiaty pojedyńcze, 3 calowej średnicy, a pełne podobne do pięknych kamelij, nie są żadną dziś osobliwością. Jeszcze o 2 grupach wspomnieć należy. 1) Półkrzaczaste, do których zaliczamy: B. Dregi sinuata i Velltoniensis, a tę ostatnią można nawet spotkać w mieszkaniach ludzi uboższych, która przy pewnem staraniu, cieszy się przez cały rok swemi ładnemi, różowemi kwiatkami i 2) których do żadnej wymienionej już grupy zaliczyć nie można, jest to B. semperflorens („Panna młoda“) z licznemi odmianami. Nie jest ona ani krzaczasta, ani bulwiasta, daje się wprawdzie przechować przez zimę i przy dobrem staraniu kwitnie ciągle, lecz może również jako roślina letnia być hodowaną corocznie na wiosnę z nasion i służyć do ozdoby kwietników, do czego zresztą i bulwiaste także bardzo są przydatne. Istnieją jeszcze i inne np. B. Limminghi i B. scandens, których można używać jako roślin ampułkowych lub zwieszających się, a także inne, rosnące tylko w wilgotnej i gorącej szklarni, jak B. imperialis, B. smaragdina itp. Wogóle begonie stanowią tak wielki dział, że mógłbym o nich całą książkę napisać, gdybym chciał mówić o rozmnażaniu ich, hodowli i zastosowaniach.

Jan Wachowski,
ogrodnik z Niechanowa.

(Dokończenie nastąpi.)



Dział kobiecy.

Zadanie kobiety.

Są kobiety, którym życie niemal całe upływa na marzeniach, których nigdy w rzeczywistość obrócić nie będą mogły. Kobieta przeważnie, jako panna jeszcze, wystawia sobie przyszłość swoją w kolorach tak różowych, jak jej tylko wyobraźnia na to pozwala. Lecz zazwyczaj marzenia te nie ziszczają się wcale, albo bardzo rzadko. I tak, zamiast za lekarza, adwokata lub bankiera, wychodzi za agenta, kupca, rzemieślnika lub urzędnika biurowego, którego pensya nie wystarcza na jej wymarzone wymagania.

Nie stara się ona o nabycie wiadomości, któreby ją uczyniły dobrą gospodynią, dobrą żoną, dobrą matką, nie dba o to, by umiała smacznie gotować, zręcznie szyć, prasować i t. d., — za to umie śpiewać, grać, deklamować i t. d. i dlatego rości sobie prawo do dobrego zamążpójścia. Śpiew, poezya i sztuka są to rzeczy dobre wprawdzie dla kobiet, lecz powinna towarzyszyć im znajomość umiejętnego prowadzenia gospodarstwa domowego. Bez pierwszego żyć można bardzo szczęśliwie nawet — bez ostatniego nie.

Jeżeli mówimy, że miłość jest podstawą szczęśliwego pożycia w małżeństwie, to miłość ta powinna objawiać się nie tylko w uczuciach, w słowach czułych, ale przedewszystkiem uwydatniać się w czynach. A gdzież kobieta, jako żona i matka znaleść może lepszą sposobność do tego, jeśli nie w wypełnianiu tych codziennych drobnostek, jakiemi są gotowanie, pranie, prasowanie i t. p. — „Droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek,“ — mówi przysłowie; to też kobieta sposobem, w jaki przyrządza potrawy i podaje je, sposobem, w jaki upiększa mieszkanie i uprzyjemnia pożycie domowe, może i powinna zaskarbić sobie coraz to większą miłość, coraz to większe przywiązanie, męża i dzieci.

Lecz — powie może niejedna — ja nie chcę być prostą tylko kucharką lub sługą w domu mego męża, ja chcę w nim zajmować stanowisko wyższe. A czyż może być coś wznioślejszego, coś wyższego nad stanowisko kobiety — żony i matki? —jeśli pojmuje i wypełnia ściśle i dokładnie obowiązki temuż stanowisku przynależne? — I cóż z tego, że umiesz na pamięć ustępy z dzieł Mickiewicza lub Słowackiego, gdy tymczasem dzieci twe chodzą obdarte i głodne nieraz, to ty, ucząc się deklamacyi lub gry na fortepianie i z takowemi występując na scenie, nie masz czasu uszyć im porządnego ubrania lub przyrządzić smacznej lub pożywnej strawy. Cóż z tego, że w umyśle twoim powstają idee wzniosłe i piękne, że marzenia unoszą cię na niedostępne wyżyny, kiedy pożycie twe domowe jest nie do zniesienia nieraz, kiedy mąż niezadowolony z twojego postępowania czyni ci cierpkie i gorzkie wyrzuty — a dzieci twe niedopilnowane przez ciebie wałęsają się po ulicach i uliczkach, wyrastając na uliczników — czyż to nazwać można wypełnieniem powinności i obowiązków swoich?

Zatem należy starać się najpierw o poznanie i zrozumienie tego, co najważniejsze i najpotrzebniejsze w życiu codziennem, a potem dopiero myśleć o występach, mowach i deklamacyach na scenie, o malarstwie lub sztuce, chociaż i tych rzeczy jako dobrych nie gani się wcale, lecz chwali.

Przyjaciółka.



Pan Edmund Ryger

dyrektor teatru naszego po 12-to letniej owocnej pracy opuszcza nasze miasto. W sobotę ubiegłą żegnał się p. Ryger w teatrze z publicznością. W poniedziałek zgromadziło się kilkudziesięciu przyjaciół i wielbicieli ustępującego dyrektora w hotelu francuskim na skromnej uczcie, by uczcić zasługi jego i złożyć hołd świetnemu artyście i zacnemu człowiekowi.

Wieczór minął w nastroju serdecznym. Mowom i toastom nie było końca.

I my pospieszamy, aby wyrazić najserdeczniejszy żal, że p. Ryger opuszcza nasze miasto i teatr, około którego położył wielkie zasługi, ustalając jego byt materyalny i podnosząc jego poziom artystyczny na wyżyny prawdziwej świątyni sztuki. Pan dyrektor Ryger wychował cały zastęp wybitnych aktorów — to jedna z jego zasług położonych około rozwoju sztuki dramatycznej polskiej — druga i większa, bo narodowa i cywilizacyjna, że nauczył chodzić do teatru i kochać go wielkie zastępy publiczności ludowej, które do niedawna obojętne były dla sztuki, literatury i dla teatru. Jak każdy wybitny człowiek i p. Ryger był narażony na przykrości i napaści. Jednakże wieczór sobotni i poniedziałkowy, zgodny głos prasy i publiczności, musiał przekonać go o tem, że Poznań i Księstwo potrafią ocenić rzetelną pracę i nie skąpią uznania prawdziwej zasłudze. Sądzimy, że trafiamy w myśl naszych czytelników, jeżeli w ich imieniu wyrazimy ustępującemu dyrektorowi żal, że nas opuszcza i najserdeczniejsze życzenia dalszej pomyślności w życiu i w sztuce.

Zachowamy mu wszyscy dobrą i wdzięczną pamięć i uznanie za to, co uczynił i za to co chciał uczynić. Dyrektor Ryger bowiem miał wielkie aspiracye artystyczne, jeżeli ich nie urzeczywistnił w zupełności, polegało to na tem, że trafiał na przeszkody nieprzezwyciężone. Nie woli i umiejętności brakło — lecz możności.

Jednakże to, co zrobił, na co stosunki i warunki pozwoliły, było takie, że zapewnia mu na zawsze miejsce w sercu i pamięci naszej oraz piękną kartę w historyi teatru naszego. *R.*

Nowe książki.

— **Macierz Polska**. Jako nr. 41 Biblioteki Macierzy Polskiej wyszedł *Zbiór powieści i gawęd*, ułożony przez dra Franciszka Krczeka. Złożyły się na ów zbiór opowiadania Ignacego Chodźki, Czajkowskiego, Zmorskiego, Dzierżkowskiego, Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Bałuckiego i innych autorów polskich. Zbieracz starał się o dobór rzeczy zajmujących, jakoteż zdolnych rozbudzić uczucia patryotyczne, lub też oddziałać na poczucie etyczne. Tekst ozdobił dziesięciu rycinami dr. Władysław Witwicki. Książka liczy stron 401, cena jej 1 kor. 50 hal.

Niezwykłą książkę wydała Macierz jako nr. 42 „Biblioteki M. P.“ Są to *„Wiersze, piosnki z naszej wioski“ Jantka z Bugaja*. Zbiór ten wymaga omówienia obszernego, tu godzi się tylko zaznaczyć, że „Wiersze“ są zjawiskiem, które wiele powinno dać do myślenia. Na książce tej odbywać można studyum duszy chłopskiej, studyum myśli i uczuć chłopa-obywatela, chłopa-patryoty i chłopa... poety. To też książka ta to wprost dokument historyczny, zwierciadło tych wszystkich ewolucyj, przez które przeszło społeczeństwo polskie w latach ostatnich. Ujrzeć, jak owe prądy współczesne, różnorodne, załamały się w psyche „najmłodszej dziatwy“ narodu, jakiego dla się poszukały wyrazu (czasem jaskrawego), to nietylko nęcące, ale potrzebne, a nawet konieczne.

— **Ks. K. J. Kantak**: *Obowiązki społeczne i narodowe* (Nr. 11. Głosów na czasie). Nakład Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. Cena 60 fen.

Dziełko to w treściwy i pouczający sposób uwydatnia obowiązki obywatela względem społeczeństwa i narodu. Zawiera ono dużo pięknych i zdrowych myśli bądź oryginalnych, bądź to zaczerpniętych z dzieł wybitnych pisarzy. Odznacza się ono zdrowym i gorącym patryotyzmem, opierającym się na podstawie chrześciańskiej i uwydatnia należycie, że tylko z czynnej i rozumnej religijności może płynąć rzetelna miłość narodu i umiejętne służenie dobru publicznemu, co jest obowiązkiem każdego uczciwego obywatela. Oświetla także autor rozmaite spaczenia idei patryotycznej, objawiające się w szowinizmie i nacyonalizmie, oraz wykazuje, jakie zachodzą różnice pomiędzy godnością a pychą narodową. Książeczka to użyteczna i dobra. Szkoda tylko, że drukowana według wskazań ortografii prof. Kryńskiego, która dlatego, że niezgodna jest z poprawnem brzmieniem języka naszego, a nadto, ponieważ sprowadza nieporozumienia i niejasności, na popularyzowanie nie zasługuje.

Baczność Czytelnicy.

Co tylko ukończyliśmy druk pracy posła *Dra Zygmunta Dziembowskiego* p. t.

„Podręcznik w sprawie wywłaszczenia.“

Autor był członkiem Komisyi sejmu pruskiego dla ustawy ekspropryacyjnej, oraz Komisyi budżetowej przy omawianiu memoryałów kolonizacyjnych, miał zatem sposobność zapoznania się dokładnego z tak ważną dziś dla nas sprawą.

Podręcznik posła Dra Z. Dziembowskiego zawiera dokładny obraz postępowania wywłaszczającego, zasad odszkodowania, praw właściciela oraz osób trzecich, przyczem udzielone są rady, jak należy postąpić w danym wypadku. W licznych uwagach przedstawiony jest materyał odnośny, w którym czytelnik znaleść może dokładniejsze informacye. Również podane są dokładne cyfry dotyczące działalności Komisyi kolonizacyjnej, przedstawiony jest jej skład i organizacya. Tekst praw odnośnych oraz wyciągi z ważniejszych wyroków sądu rzeszy podano osobno.

Cena książki wynosi 1.25 mk., z przesyłką 1.35 mk.

Zamawiać można bądź to w księgarniach, bądź wprost u nas pod adresem:

Administracya „Pracy“
Poznań (Posen) ul. Rycerska 38.

O czem myślą ludzie umierający?

Człowiek normalny rzadko myśli o śmierci. Świadomość, że kiedyś nieuchronnie trzeba będzie umrzeć, nie psuje nikomu ani humoru ani apetytu. Długotrwały lęk przed zgonem jest wyłącznym udziałem tych, którzy tknięci nieuleczalną chorobą widzą, iż niema już dla nich ratunku, gorycz ich i rozpacz powiększa jeszcze ta okoliczność, że żywi, krzątający się naokoło nigdy nie są właściwie zdolni w całej pełni odczuć grozy ich beznadziejnego położenia.

Ale nawet nieuleczalni chorzy żywią jeszcze resztki nadziei i łudzą się tem, że już to lekarze nie poznali się na ich chorobie, już też że przyroda uczyni dla nich wyjątek.

Człowieka trwoży zresztą nie tyle sam fakt zgonu, ile ostatni moment przedśmiertny. Moment ten wydaje nam się poprostu straszny i samo wspomnienie o nim przejmuje nas grozą. Mamy więc niejasne poczucie, że tylko drogą długiego życia, drogą mozolnych rozmyślań i doświadczeń zdołamy się w jakiś nadzwyczajny sposób przygotować do tego momentu. Dlatego to najtragiczniej odczuwamy wszystkie formy zgonów gwałtownych, nieprzewidzianych. Te przejmują nas zimnym lękiem i budzą najserdeczniejsze współczucie.

Tymczasem taki pogląd nie jest słuszny. Świadectwa ludzi, którzy stanęli wobec nieprzewidzianej i — jak się im zdawało — nieuchronnej śmierci, brzmią wprost przeciwnie. Ludzie którzy giną powolną śmiercią, cierpią najwięcej właśnie dlatego, że mają czas wgłębiać się w tajemniczy, okropny, nierozwiązalny problem śmierci... Im usilniej i gorączkowiej dociekają tajemnicy, tem straszniejszą wydaje im się ona otchłanią. Ci co giną gwałtownie, nie mają na to czasu i dlatego umierają nieporównanie lżej.

Opowiadają o Ludwiku XIV, że gdy znalazł się wobec niespodziewanej, bliskiej śmierci, doznawał uczucia niezwykłej ulgi, umarł też z uśmiechem na ustach. Większa część ludzi, którym groziła nieuchronna śmierć, przy zupełnej świadomości wszystkich władz nie odczuwała zgoła żadnej trwogi. Ludziom tym przed samym zgonem przychodziły do głowy niejednokrotnie myśli wesołe i przyjemne, a najczęściej małoznaczące i banalne.

Pewien człowiek tonący po długiej walce z falami, w czasie której o niczem nie myślał, właśnie wtedy gdy znużony opadał na dno i miał stracić przytomność, pomyślał sobie tylko tyle: „Nieraz pragnąłem wiedzieć, w jaki sposób zginę, a oto właśnie tonę aha“... i doznał pewnej formy dziwnej ulgi, to była jego ostatnia myśl przed utratą przytomności. — Człowieka tego potem wyratowano.

Jeden znów majtek, którego znaleziono nieprzytomnego na wybrzeżu morskiem, opowiadał: „Kiedy okręt się rozbił i poszedł na dno, rzuciłem się w morze i próbowałem płynąć w kierunku przypuszczalnego lądu. Wkrótce jednak opuściły mnie siły i stałem się igraszką fal. Fala poniosła mnie, raz i drugi napiłem się słonej wody, poczem zanurzyłem się i czułem, że idę na dno. Wtedy właśnie przyszło mi do głowy, że nie zdążyłem przeczytać bardzo zajmującego romansu, którym zachwycałem się na okręcie i ta myśl sprawiła mi prawdziwą przykrość.“